WIENIEC

PISMO DODATKOWE

DO

GAZETY WARSZAWSKIEJ

POŚWIĘCONE LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie,
Tych wonią serca pieszczę tych się barwą zdobię.

Rok drugi Tom II.

MIESIĄC CZERWIEC.

WARSZAWA

1840

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj

WYCIECZKA

NA WYSPĘ WIGHT.

(z dziennika podróży.)

— — Opuszczałem Londyn, w którym bardzo mało się bawiłem, szczególniéj ostatniego dnia, który był niedzielą, to jest najnudniejszym z wszystkich nudnych dni jakże można mieć w mglistéj stolicy Albienu. Odjechałem nie przeciążony pieniędzmi, bo bardzo porządnie

ubrany i grzeczny gentleman, który przy tém nie źle mówił po francuzku, ukradł mi moją sakiewkę na *regent street*, kiedyśmy stali przed wspaniale oświeconym sklepem, i rozmawialiśmy o przemyśle angielskim i jego zadziwiających postępach.

Wyjechałem więc z lekkim woreczkiem i nadto z próżną kieszonką od zegarka. Jak to się stało, trudno prawie uwierzyć.

W czasie mojego pobytu w Londynie chodziłem codziennie do Hyde Park. Pewnego dnia postrzegłem tam młodą damę, która sama przechadzała się w ustronnéj alei, i skromnie unikała wyzywających spojrzeń elegantów, których pełno jest zawsze w tem miejscu przechadzki pięknego świata londyńskiego. Jéj lekki kołyszący się chód, był pełen wdzięków, a skromny ale gustownie dobrany ubiór, oznaczał Angielkę szlachetuego rodu, która przez długi pobyt w Paryżu zmieniła smak pod względem mody. Miała ona piękne czarne oko ocienione długiemi czarnemi rzęsami, co jest oznaką silnéj woli i ognistéj zazdrości, a ja lubię kobiety zazdrosne.

Ta zachwycająca lady, coraz mię więcéj pociągała ku sobie. Była ona istotnie bardzo powabną, wprawdzie nie wysoką, ale mała milutka kobieta tyle w moich oczach znaczy co jaka Semiramis albo Dydo. Pragnąłem gorąco zabrać z nią znajomość. Zdawała mi się być nieco smutną i domyślałem się że jakaś skryta boleść jéj serce tłoczy, którą współuczucie pzzyjaciela mogłoby osłodzić. O gdybym był przeznaczony otrzéć łzy tak pięknych oczu, jakież to szczęście!

Przez trzy lub cztery wieczory przechadzałem się w pełnem uszanowania oddaleniu od niéj. Trwożni jesteśmy kiedy nas skromny powab pociąga! Nakoniec przypadek przyszedł mi na pomoc. Przeszedłem koło niéj i zaledwie dwa lub trzy kroki byłem za nią, kiedy postrzegłem na ziemi książkę w pięknéj oprawie z złoconemi brzegami, którą często widziałem w jéj ręku.

Porwać książkę, spojrzeć na tytuł a potem podać ją pięknéj właścicielce z tem grzecznem poruszeniem kapelusza które prawie nie znane

jest z tamtéj strony kanału, było dziełem jednéj sekundy. Podziękowała lekkiem poruszeniem głowy, melancholiczny uśmiech przebiegł po jéj licach i z westchnieniem rzekła: Jestem panu nieskończenie wdzięczną, tem bardziéj że Young jest moim ulubionym autorem, moim wiernym towarzyszem i najlepszym przyjacielem.

Droga do dłuższéj rozmowy była zbyt szczęśliwie otwartą, nie miałżem z niéj korzystać. Przypomniałem sobie że kiedyś czytałem w tłomaczeniu francuzkiem *Noce Younga* i mięszałem naprzemian myśl z tego autora z najwyszukańszemi grzecznościami dla mojéj damy, uwielbiając nad wszystko dusze które lubią obrazy cierpienia i śmierci.—Piękna nieznajoma uroniła kilka łez, które radbym był zebrać w djamentową czarę. Odpowiedziała mi najsłodszym głosem jaki kiedykolwiek słyszałem. O jakże szczęśliwą jestem że w naszym wieku hucznych zabaw i niegodnych rozrywek, spotkałam młodego przyjemnego gentlemana, nadto jeszcze Francuza, który przystępny jest tkliwym

melancholicznym uczuciom! — Na honor. to zdolne było zmysły moje pomięszać, Nakoniec otrzymałem pozwolenie podania jéj mojej ręki, i przechadzaliśmy się razem.

Przebiegaliśmy długo aleje, które szósta godzina wieczorna zaczynała pokrywać tajemniczym cieniem. Moja piękna nieznajoma była niezmordowaną, to prawda że jej lewa ręka dość mocno opierała się na mojęj prawéj i szła więcej przede mną niż przy mnie. Ale chociaż nogi moje w tym rodzaju przechadzki nie bardzo dobrze się miały, za to tem szczęśliwszemi były moje oczy, bo nie potrzebowały patrzyć na niepłodny piasek alei, lecz w piękne błyszczące oczy, wysokie czoło i zachwycające malutkie usta.

Po przeszło godzinnéj rozmowie, prosiła mię milady abym ją do fiakra odprowadził; opierałem się temu, chciałem przedłużyć jeszcze moje szczęście, prosiłem aby pozwoliła mi odprowadzić się do mieszkania. Była w tym względzie nieubłaganą.

Szepnąwszy parę słów do ucha woźnicy,

wsiadła w fiakra i gdy drzwiczki już były zamknięte zawołała.

— Jutro, panie, o saméj czwartéj godzinie w naszéj alei.

Dobyła zegarka. Mój Boże jak to już późno cóż powie moja matka.

— Pani matka, więc pani jesteś niezamężną?

— Owszem, jestem wdową już od lat czterech. Jutro za tem o godzinie czwaetéj. Może pan ustawisz swój zegarek podług mojego; u mnie brakuje pięć minut do siódméj.

Fiakr w téj chwili ruszył galopem. Chciałem spojrzeć na zegarek i nastawić go na godzinę wymienioną przez piękną nieznajomę. Zegarka nie było. Następnego dnia byłem przed czwartą w umówionéj alei Hyde-parku, wdowa nie przyszła, byłem okradziony! — Zdradliwy Albion.

Wiecie już jakim sposobem przed wyjazdem z Londynu postradałem zegarek i znaczną część pieniędzy które wziąłem na podróż. Zostało mi około dwudziestu luidorów w złocie, kiedy odjechałem do Portsmouth w zamiarze, zwiedzenia tamtejszych warsztatów w Spithead. Towarzy-

szył mi mój przyjaciel Bentam, nadzwyczajny niedowiarek.

Wróciwszy z arsenału, rzekłem podczas obiadu do Bentama: Słuchaj przyjacielu, przyszła mi szczęśliwa myśl.

— Słucham, odpowiedział Bentam wychylając szklankę porteru.

— Czy znasz wyspę Wight, Bentamie?

— Widziałem ją raz zdaleka.

— Jutro zwiedziemy ją jeśli zechcesz.

— I owszem, jutro rano, a teraz pójdźmy spać.

— Tak wcześnie.

Mimowolnie uczyniłem puruszenie człowieka który chce spojrzeć na zegarek.

— Niegodziwa wdowa! zawołałem tak gniewnym tonem, że to polepszyło humor Bentama...

— Co też dzieje się z twoim zegarkiem, rzekł Bentam, najpewniéj jest teraz u jakiego procentowicza pożyczającego na fanty, a zachwycająca wdowa za pieniądze w zamian twego zegarka otrzymane, spełnia może w téj chwili we-

sały toast na zdrowie Paryżanina którego okradła. Ale dla czegóż nie miałeś łańcuszka.

— Dla czego! dla czego! Do licha, to rzecz bardzo prosta, dla tego że w ostatni piątek przy wyjściu z Drury-lane zdjęto mi go z szyi, przeciąwszy pierwéj tuż przy kieszonce.

— Musiał więc być złoty.

— A jakiż miał być, możebyś chciał żeby był tombakowy.

— Masz słuszność, to byłoby oszukiwać złodzieja, a na to ty jesteś nadto delikatnym, wszak prawda.

— Daj pokój żartom, oto pomówmy o wyspie Wight. Jest ona bardzo godną widzenia, przynajmniéj jak mi ją opisywano; jéj okolice nie ustępują w piękności najpiękniejszym położeniom we Francji. Prócz tego żyją tam wybornie, co dla takiego smakosza jak ty nie może być obojętném, i nakoniec co najważniéjsza, tamtejsze kobiety odznaczają się nadzwyczajną pięknością.

— Kobiety zgubią cię, mój Jerzy, już ci to dawno przepowiedziałem: Ale mniejsza o kobiety wyspy Wight, nie są już dla ciebie niebezpiecznemi, bo już nie ma ci co ukraść.

— Czy wiesz, że z tą wyspą łączą się ważne historyczne wspomnienia? Czy wiesz że przed kilku wiekami, jeśli się nie mylę w roku 1276 upadł tam deszcz krwawy.

— Nie wierzę w krwawy deszcz, mój przyjacielu.

— Mogłem być tego pewnym, ty wątpisz o najsilniéj dowiedzionych rzeczach, jesteś niedowiarek i dziwak.

— Pójdźmy spać!

Nazajutrz wcześnie byliśmy na nogach. Udaliśmy się do portu. Na pierszą część drogi wybrałem małą barkę z żaglami, bo wiedziałem że po drodze spotkamy parопływ który codziennie udaje się z Portsmouth do wyspy Wight. Wsiedliśmy do statku i ja dumnie zająłem miejsce przy rudlu. Przewoźnik pozwolił mi sterować, jednakże sam kierował żagle i nie radził mi oddalać się od lądu. Bentam

był nieco strwożony i rzekł do mnie śmiesznie uroczystym głosem.

— Jerzy, pamiętaj że jestem zaręczony; nie zrob jakiego głupstwa.

Statek nasz tańczył wesoło po wałach; by Beatama wyrwać z jego trwożnych zamyśleń, chciałem mu cóś zajmującego opowiadać, zacząłem od historji walki między Angliją i Francją w końcu panowania Ludwika XIV.

Wiesz gdzie w téj chwili jesteśmy, Bentamie?

— Na wątłéj łódee, kierowanéj przez niejakiego pana Jerzego, czyli co na jedno wychodzi, jesteśmy na łasce losu.

— Nie oto tu idzie., Widzisz Bentamie, tutaj to w dniu 30 Lipca, 1690, pan Tourville, dowódca siedmdziesięciu dwóch okrętów linjowych płynąc z Tulonu spotkał flotę angielsko-holenderską, liczącą sto pięćdziesiąt fregat; Była to godzina 8 z rana, ustawiono się w szyku bojowym, walka miała się zacząć, manewra z obu stron...

— Nieszczęśliwy, uważajże, bo twoje manewra przewrócą statek!

— Istotnie nadałem fałszywy kierunek rudlowi, a przewoźnik angielski ostrzegł mnie o tém energiczném przekleństwem, czy czemś podobnem, bo nie bardzo rozumiałem po angielsku i Bentam zwykle za nas obu przemawiał. Mowiłem daléj.

— Bitwa była straszna, trwała dziewięć godzin. Dopiero o godzinie piątéj wieczorem walczący rozdzielili się. Francuzi okryli się sławą, a Holendrzy walczyli z męstwem któremu sam admirał Tourville sprawiedliwość oddaje. Co się tycze Anglików, dodałem z cicha aby nie być zrozumianym przez majtka, który gwiżdżąc zajmował się żaglami, powieść nie najlepiéj o nich mówi, ich admirał zostawiał Holendrom najtrudniejsze pozycje i sam tylko przez trzy godziny należał do walki. Połączona flota straciła trzydzieści statków, dziesięć zdobył admirał Tourville, resztę spalił. Francuzi nie stracili żadnego okrętu, ale liczyli czterystu poległych i pięciuset ranionych żołnierzy i majtków. Na tem to sławnem polu bitwy znajdujemy się w téj chwili...

— I w nienajlepszem położeniu, mówiąc między nami, bo wiatr zaczyna się wzmagać a jeszcze jesteśmy daleko od wyspy.

Tak, ale dość blisko paropływu, odpowiedziałem spojrzawszy ku Portsmouth.

W istocie, za nami szybko pędził paropływ i wkrótce musiał nas dogonić.

—Zobaczysz jak ja ku niemu się puszczę. Powiedz tylko naszemu żeglarzowi iżby zawołał na kapitana tego paropływu że chcemy się udać na pokład.

Bentam powiedział to przewoźnikowi i zapłacił mu należność. Anglik patrzył na nas z podziwieniem, wziął pieniądze, zaczął się śmiać, i kapeluszem dał znaki paropływowi który był już bardzo blisko. Paropływ przyspieszył bieg swój. Ja starałem się mieć się na baczności, ale nie wiem jak się to stało, dość że bez pomocy przewoźnika byłbym utonął. Dość przecie wcześnie schwycił mię, gdym po pas był w wodzie; Bentam był już na pokładzie paropływu kiedy ja jeszcze walczyłem z wodą która z chłodnika paropływu na nasz statek uderzyła. Bezwątpienia zapał mię oślepił.

Przybyłem nakoniec na pokład paropływu, na którym usłyszałem śmiechy, żarty i niektóre stosujące się do mnie przydomki, których tu nie mogę powtórzyć. Pierszem mojem staraniem było udać się do miejsca gdzie się ogień pod kotłem pali, w nadziei osuszenia się. To jednak nie tak było łatwem. Najprzód trzeba było zjednać sobie podpalacza, który poważnie oparty na łopacie od węgli zawołał na mnie językiem który ledwie przez pół zrozumiałem. Tu nie wolno wchodzić! Dobyłem kilka szylingów z kieszeni i kiedym mu ich dał z ośm, otworzył mi drzwi pieca. Nie ociągałem się z korzystaniem z tego, bo woda strumieniami spływała ze mnie.

Wkrótce stałem się podobny do człowieka, i udałem się na pokład. Spojrzałem wokoło, ale jakież było moje zadziwienie gdy ujrzałem że coraz oddalamy się od wyspy Wight.

Pobiegłem do Bentama którego z trudnością znalazłem między skrzyniami i wańtuchami które leżały na pokładzie. Nakoniec zobaczyłem go pod tuzinem mantelzaków między kilku maj.

tkami którzy zdawali się być słabemi i bez miłosierdzia przeklinali.

Słabość morska napadła Bentama, naprożno nań wołałem, nic mi nie odpowiedział.

Co tu począć, jak się dać tym dzikom zrozumieć. Ciągnąłem Bentama za ramie, na próżno, wołałem na majtków, nie rozumieli mnie. Spojrzenie moje toczące się dokoła padło przypadkiem na skrzynię na któréj było grubo pędzlem napisano: „Panu Robertson w Malcie.

Malta! krzyknąłem przerażony, Malta! co to znaczy! Jak może paropływ wyspy Wight wieść paki adresowane do Malty? Bentamie, Bentamie mój przyjacielu, tu zachodzi jakaś okropna omyłka Wstań, spojrzyj na te paki, na te skrzynie adresowane do Malty, czy słyszysz? do Malty!

Ten krzyk rozpaczy ocucił nieszczęśliwego mego przyjaciela któremu śmiertelna bladość nadawała okropne wejrzenie.

— Co tam słychać, Jerzy, zapytał słabym głosem, czy prędko przylądujemy do twojéj przeklętéj wyspy Wight.

—Otóż to oto właśnie idzie, Bóg wie mój przyjacielu, ale zdaje mi się żeśmy się okropnie

oszukali, a największe nieszczęście że w pełnym biegu statku nie możemy wysiąść. Ty umiesz rozmówić się z temi przeklętemi wyspiarzami, staraj się zasięgnąć wiadomości o naszem położeniu.

Po tych słowach podniosłem Bentama i poprowadziłem go za rękę do wysokiego chudego jegomości, którego broda zatopioną była w szeroko zawiązanéj chustce.

— Czy nie chciałbyś mi pan powiedzieć, dokąd ten statek płynie? z trudnością wyrzekł Bentam. Wysoki jegomość ściągnął ramiona, potem się rozśmiał głośno i grubijańsko, i odwrócił się dla wydania majtkom nowych rozkazów. Pieniłem się z wściekłości, wybiłbym tego człowieka gdybym był pewien że mu dam radę. Bentam zwrócił się do małego jegomości który trzymając obie ręce w kieszeniach surduta przechadzał się po pokładzie.

— Za pozwoleniem, dokąd płynie ten statek? mały jegomość podniosł głowę i powiedział to-

nem spokojnym, który mię rozpaczą przejmował: „Do Malty.

— Do Malty? ale my nie chcemy udać się do Malty.

— O, to nic, odpowiedział równie spokojnie mały, zatrzymamy się w Gibraltarze, to...

— Do czarta z twoim Gibaltarem, zawołałem w uniesieniu, piękna mi pociecha!

Jednakże trzeba było wydobyć się z tego okropnego położenia. Zacząłem wołać: gdzie jest kapitan, pokażcie mi kapitana, zawołajcie go do mnie.

Moje krzyki sprawiły tak wielkie oburzenie, że jakiś gruby marynarz którego nazywano Post Master, zbliżył się do mnie, i najokropniejszą francuźczyzną zawołał: Oszalałeś, panie Paryżaninie. Bądź cicho, albo popłyniesz do Malty w ciupie na dnie okrętu.

— Malta, zawsze Malta! Nie oszalałem, ale oszaleję niezawodnie; Bentamie, powiedzże temu wielorybowi w kurtce, że chcemy udać się na wyspę Wight, że nie możemy jechać ani do Malty ani do Gibraitaru, powiedz iż mamy in-

teresa w Paryżu, ponieważ twój ślub ma się odbyć 15 b m, a dziś jest 5, że opera włoska zostanie otwartą w dniu 1 Października i ja muszę być na jéj pierwszém przedstawieniu; słowem powiedz mu co chcesz. Bodajby potonęły wszystkie angielskie okręty, które udają że płyną do wyspy Wight, a chcą poczciwych ludzi zawieść do Malty.

Tymczasem koła paropływu garnęły wodę z nadzwyczajną gwałtownością i wyspa Wight która przed kilku minutami była przy nas, znikła śród morza i wydawała się małą zieloną kępą.

Bentam przyszedł do siebie, i na serjo rosprawiał z postmastrem względem wypuszczenia nas.

— Musiemy udać się albo na wyspę Wight albo do Portsmouth,, widzisz pan że omyliliśmy się względem statku.

— Nie trzeba się mylić, mój panie, tylko Francuzi zdolni są do podobnych omyłek.

— Francuzi czy nie, już się stało. Nie możecie panowie chcieć nas tu zatrzymywać,

dla przyjemności wyrzucenia nas na skały Gibralturu, dla tego musisz nas na ląd wysadzić.

— Na ląd, mości Francuzie, na ląd, a na jakiż ląd, jeśli łaska, może we Francji?

— Nie, na wyspę Wight.

— Więc pan chcesz żebyśmy zmieniali naszą drogę dla tego że panom zachciało się widzieć wyspę Wight? My od przepisanego kierunku nie możemy odstępować, a za tem trzeba być cierpliwym. Jeśli spotkamy jaki statek, to was wysadziemy.

— A jakże prędko możemy się tego spodziewać?

— Może za sześć lub siedm dni, to zależy od przypadku.

— Bodaj cię szatan, z twoim przypadkiem, mruknąłem między zębami.

Tym razem wpadłem w zupełny stan odrętwienia; cierpiałem cóś takiego jakby tęsknotę do rodzinnéj ziemi. Cóż byłbym nie dał za widok wież Notre-Dame. Przeklęta chętka podróżowania. — Tymczasem postrzegłem ja-

kiś statek płynący w pewnéj odległości od paropływu; przyjrzałem mu się dokładniéj i poznawszy go zawołałem:

— Bentamie, jestesmy ocaléni! Uproś tylko tego przeklętego postmaster, żeby wstrzymał nieco swój statek, a dostaniemy się na powrót na naszą barkę.

Bentam poszedł przedstawić naszą prożbę, ofiarował dwie gineje za nasz pobyt na paropływie i w końcu tyle wymową swoją dokazał, że postmaster udał się do kajuty kapitana, aby go zapytać czy może zatrzymać statek. W chwilę potem wrócił, wydał rozkazy i paropływ w jednem mgnieniu stanął. Porwałem trąbę morską, i z całych sił krzyczałem na barkę żeby przyspieszyła biegu ale ona powoli jakby żartując z nas posuwała się na przód. Nakoniec żeglarz nasz zrozumiał moje wołanie i dał mi znak kapeluszem, poczem rozwinął żagle i puścił się szybkim biegiem.

Nim kwadrans upłynął, barka stanęła obok paropływu; obwiązano linami nieszczęśliwego

Bentama, którego ciągłe mdłości niezdolnym czyniły do pionowéj pozycji i spuszczono ten żywy pakunek dość nie starannie na pokład barki, gdzie go wziął na ręce przewoźnik i jak mógł złożył na wełnianym kocu. Ja z mojéj strony, szczęśliwy że zostaliśmy uwolnieni, wesoły i lekki jak człowiek obeznany z morzem, puściłem się z drabiny paropływu w barkę. W téj chwili barka usunęła się nieco i ja padłem między ławki przy sterze, gdzie było mnóstwo wody jakby w wannie. Przez chwilę byłem ogłuszony upadkiem, ale uczuwszy że woda zupełnie mię przykryła, na instynkt zacząłem pływać, co na pokładzie przeklętego paropływu wzbudziło niezmierne śmiechy.

To obudziło mój gniew i przywróciło mi siły. Powstałem i groźnie wyciągnąłem pięść ku niegodziwcom żartującym z mego przypadku wyrzuciłem wszystkie przekleństwa jakie umiałem na pamięć. Wiatr uniosł moje złorzeczenia, a paropływ już był daleko.

Otrząsnąłem się jak mógłem, i siadłem na słońcu, aby oschnąć nieco, bo już nawet za ośm szylingów nie mógłbym suszyć się przy piecu.

—Dokąd? zapytał się przewoźnik, który ciągle płynął za paropływem.

—Do wyspy Wight, odpowiedziałem, i to najkrótszą drogą.

Bentam który nieco przyszedł do siebie, przerwał mi prędko:

—Czyś zmysły stracił, Jerzy, możeszże w takim stanie jak teraz jesteś myśleć jeszcze o o kobietach tej przeklętéj wyspy. Do Portsmouth, przyjacielu, do Portsmouth!

Barka zmieniła swój kierunek, i płynęliśmy jak mi się zdawało co raz daléj od Portsmouth; powiedziałęm to Bentamowi, który zapytał przewoźnika. Ten spokojnie palił fajkę i z razu nie nie odpowiadał, nakoniec znużony pytaniami, rzekł:

—Wiem co robię, bądźcie panowie spokojni. Przybędziemy tego wieczora do Portsmouth pierwéj nim zamkną port, chybaby wiatr który się w téj chwili zmienia był bardzo silny, bo w takim razie.

—W takim razie, przerwał Bertam przestraszony, co i moję spokojność zachwiało.

—W takim razie odwrócięmy się tyłem do

wiatru i skierujemy ku brzegom Francji; ale niech nas Bóg od tego uchowa.

Wiatr istotnie zmienił się. Zrana wiał lekko od zachodu, teraz zaś zaczął gwałtownie dąć od wschodu. Po przeszło godzinnéj walce nieustannéj, podczas któréj prawie nie posunęliśmy się na przód, przewodnik rzekł do Bentama.

—Djabeł mocniejszy jest ode mnie. Płyniemy do Francji.

—Do Francji! powtórzył Bentam zwróciwszy się do mnie.

—Do Francji! krzyknąłem z trwogą! ależ pamiętaj że nie mamy ani jednego *sous*. Nasze podróżne kufry są w oberzy pod świętym Jerzym, musiemy koniecznie płynąć do Portsmouth.

Wpadłem znowu w bezwładność która mię od kilku godzin parę razy napadała; lodowate milczenie nastąpiło po téj przemowie. Przewoźnik nasz przerwał tę ciszę.

Moi panowie, wieleż mi zapłacicie za przeprawę.

—Na to suchę zapytanie, nie byłem przygotowanym, zmięszałem się niem nieco.

— A ileż żądacie, zapytał Bentam.

— Dwie gineje za każdego z panów, sądrę że to nie za wiele. Prócz tego kilka szylingów, żebym mógł żyć na brzegu francuzkim póki się wiatr nie zmieni i nie dozwoli wrócić do Portsmouth.

— Co za bezczelność! cztery gineje i jeszcze kilka szylingów za kilka godzin przeprawy! zawołałem, kiedy mi Bentam udzielił ultymatum przewoźnika. Niech licho porwie wyspę Wight, jéj kobiety i historyczne wspomnienia.

Gdyśmy się jeszcze naradzali, barka nasza zmieniła kierunek, płynęliśmy pod wiatr, albo raczéj skakaliśmy po górach bałwanów, co pozbawiało nas siły nawet siedzenia, nasz marynarz użył tego sposobu aby nas zmusić do kapitulacji.

— Przystań na wszystko Bentamie, na wszystko czego żąda, bo ten wilk morski utopi nas; przystań na wszystko, zapłaciemy potem

jak będziemy mogli. Wszakże Paryż jest niedaleko brzegu do którego płyniemy.

— A więc cztery gineje? rzekł Bentam do Anglika.

— I dziesięć szylingów dodał tenże.

— Dziesięć szylingów! przeklęty ludożerca! Barka natychmiast zaczęła płynąć spokojnie, marynarz podał nam rękę, przybiliśmy targu. Potem dobył z skrzynki flaszkę z wódką, pociągnął z niéj dobry łyk i podał mi ją, co mnie znów zupełnie z nim pojednało. Od przeszłego wieczoru nie miałem nic w ustach, wódka bardzo mi dobry skutek sprawiła. W kilka chwil późniéj nie bałem się już wiatru ani morza, i zasnąłem ukołysany chwianiem się okrętu, tak mocno, jakby stary żeglarz w swojéj wiszącéj macie.

Noc już była dość późną kiedyśmy zbliżyli się do brzegów Hawru. Przewoźnik nasz z powodów bardzo zawikłanych które nam obszernie tłómaczył, ale których nie mogliśmy zrozumieć, nie kierował do portu lecz ku przylądkowi Héve.

Gdyśmy zbliżali się do lądu, w tém miejscu

gdzie morze najokropniéj o ląd uderza; zawołano na nas z brzegu, ale nasz sternik uznał za stosowne nic nie odpowiedzieć. W téj chwili kula ugodziła w barkę bardzo blisko miéjsca w którem leżałem; uważano nas za kontrabandystów. Celnicy dali ognia. Wstałem i prosiłem urzędnika aby nam pozwolili wylądować. Zamiast odpowiedzi niegodziwi celnicy strzelili znowu i tym razem kula przeszyła mój kapelusz.

— Oni nas chcą zabić! rzekłem do przewoźnika.

— Daj im pan pokój, odpowiedział mi. Tak czy tak umrzeć to wszystko jedno, a przecież wszyscy musiemy umrzeć. Zresztą nie bój się pan, ludzie tamtejsi są nie zręczni, więcéj jak sto razy strzelali do mnie podczas ostatniéj wojny kiedy się trudniłem kontrabandą i oni raz nie trafili.

Tam na lewo leży mała zatoka, gdzie panów bez niebezpieczeństwa na ląd wysadzę. Niech sobie strzelają nic nam nie zrobią.

Nasz przewoźnik mówił to z zupełną pe-

wnością, a jednak w téj chwili przekonaliśmy ię inaczéj. Kula przeszyła kołnierz mego urduta i napędziła mi okropnego strachu. ostanowiłem położyć się na ziemi, pomimo niebezpieczeństwu przemoknienia, bo osądziłem że lepiéj dostać kataru niż parę łutów ołowiu w głowę.

Przybiliśmy nakoniec do brzegu i wylądowaliśmy. Celnicy pędem przybiegli, a jeden z nich z latarnią w ręku obejrzał nas od stóp do głów, pytając.

— Nie ma nic do opłaty.

— Nic, zupełnie nic. Nie mamy nawet z sobą pakunków które zostały w Portsmoth. Chciéjcie nas panowie aresztować przez litość. Możecie nas panowie przeszukać jak się wam podoba, ale umieramy z głodu i pragnienia!

Po przeszukaniu barki którą pomogliśmy wyciągnąć na brzeg, udaliśmy się za celnikami...

Muszę oddać zupełną sprawiedliwość celnikom. Zapalili ogień i dali nam wprawdzie nie wykwintną ale obfitą wieczerzę. Przebyli-

śmy noc w izbie straży a nazajutrz udaliśmy się do Havre, skąd posłaliśmy po nasze rzeczy do Portsmouth.

Nie spodziewam się żeby mi jeszcze raz przyszła ochota zwiedzenia wyspy Wight.

MOŻE BĘDZIE SZCZĘŚLIWA.

Powieść oryginalna

Najpiękniejszy fijałek gdy w trawce zakwita.
A wdzięczność najpiękniejszą cnotą na téj ziemi,
Najpiękniejszą wśród ludzi cnotliwa kobiéta,
Lecz prawdziwy przyjaciel pierwszy między niemi.

Ostatni dzień roku wzbudza w nas zawsze szczególne jakieś uczucie, zdaje nam się, a przynajmniéj pragnęlibyśmy żeby z jego skonem znikły wszystkie nasze dolegliwości i wszystkie cierpienia, które niestety! nieubłagana koléj przeznaczenia, z ubytkiem starego, nowemu roku

wi dla nas przekazuje.— Każdy pragnie wesoło ten dzień zakończyć, jedni spieszą w miejsca publiczne Bachusowi poświęcone, drudzy, a tych największa liczba, spędzają go w gronie rodziny, oczekując z kielichem w dłoni i życzeniem w sercu na przybycie nowego gościa, inni znowu w Resursie w tym przybytku zabaw i wesołości, rok nowy witają.

Zegar ratuszowy uderzył godzinę drugą.— Pogodna i jasna noc zimowa, nieprzyjaciołka latarników, przyświecała swą kulistą gwiazdą wychodzącym z gmachu Resursy kupieckiéj.— Ulica Senatorska była pełną życia, karety, kocze i sanki rozjeżdżały się w różne strony miasta, unosząc nie jedno miłe wspomnienie, i nie jedną niespokojną chwilkę w domowe wiodąc zacisze. Przed filarami Resursy zgiełk i zamięszanie, każdy syt zabawy chciałby jak najprędzéj być w domu.

Janie! — Janie! — Janie! — kilkanaście głosów w różnych miejscach to powtarza, nareszcie zajeżdża tylu głosami wywołany koczyk, a przy nim kilkunastu elegantów jak straż przy winowajcy.—Kogóż zabierze ten tak troskliwie wy-

szukiwany ekwipaż?—uważajmy, otóż wychodzą z gmachu wesołości trzy damy, ubiór nie świetny lecz gustowny—jest to matka w assystencyi dwóch córeczek młodych i nadobnéj postaci.—Zaledwie konie wstrzymał zmorzony snem woźniza, już i drzwi i stopnie powozu zostały otworzone rączkami w białe rękawiczki strojnemi usłużnych kawalerów.

Każdy chciał być pierwszym przy wsadzaniu do kocza, i można powiedzieć iż damy te wsiadały uniesione na rękach wszystkich im służących trefnisiów.

Tysiączne ukłony, życzenia i pożegnania towarzyszyły ich odjazdowi, a nasza młodzież zrzuciwszy z siebie jarzmo etykietalnych usług, żwawym krokiem spieszyła do domu.

—Cóżeś tak smutny Leonie?

—Bynajmniéj smutnym nie jestem.

—Wszak z Kamillą najwięcéj tańczyłeś.

—Mój Edwardzie, porzuć te żarty.

—Ale bo nie lubię widzieć cię smutnym, wszyscy wracamy wesoło, a ty jeden zamyślony—przecież to cię nie powinno smucić że Kamilli wszyscy hołd składają, że jéj wszyscy

hołdy składają, że jéj wszyscy służyć radzi, — to właśnie powinno cię cieszyć, że kochasz osobę któréj ci tylu zazdrości— lubo wierz mi Leonie, ja ci bynajmniéj nie zazdroszczę.

— Cóż znaczą twoje wyrazy, zdajesz się chcieć mi rad czy przestróg udzielać, ale proszę cię, w tym względzie oszczędź sobie trudów — byłoby to naprożno; znam Kamillę, ufam jéj, wiem że mnie kocha, a nie jest zalotną.

— Nie jest zalotną — ha — ha, lepiéj że tego nie widzisz, to twoje szczęście, bobyś dawno spokojność albo może ją porzucił.

— Dosyć już, dosyć, mój Edwardzie, ty zawsze i wszędzie masz cóś do naganienia.

— Daj Boże abym się tu mylił.

Taką rózmowę prowadzili dwaj z tych usłużnych kawalerów balowych; gdy pomału ich liczba się zmniejszała, każdy żegnając się umawiał się z pozostałemi iż się zejdą we czwartek jako przywilejowany dzień wistowy u pani N.

II.

Na jednéj z pomniejszych ulic Warszawy, stoi domek dawnéj daty, na dole mieszka handlarz mioteł, przekupka i ubogi rzemieślnik — lecz pierwsze piętro za to zamieszkiwała pani N. którą widzieliśmy wracającą z Resursy w wilją Nowego roku.

Pani N. ma lat 45, w jéj rysach maluje się wdzięk i przymilenie gotowe zawsze służyć każdemu, była kiedyś piękną, co jeszcze dzisiaj przeczuć można. Kamilla, starsza jéj córka ma lat 16, ulubiona od matki, jéj kształcona ręką, posiada miły uśmiech na licach, którym wielu podbija. — Druga córka, Walerja, o rok od niéj młodsza, spokojnego temperamentu, miła i łagodna.

Mają przy tem służącę, młodą wieśniaczkę, która się zaczyna wykształcać na światową suberetkę.

Otóż całe towarzystwo składające dom pani N. nie wyłączając małego wyżełka, faworyta Kamilli.

Dwa pokoje i kuchenka — umeblowanie skromne — zdające się być szczątkami świetniejszego kiedyś, zajmuje ta mała rodzina.....

Mała pensja emerytalna jaka po panu N. pozostała, nie dozwala im żyć okazaléj, jednakże przebija się tu ta okazałość i chęć znaczenia en miniature.

Po powrocie z Resursy długo zasnąć nie mo-

gły, ileż to uwag, ileż rożnorodnych myśli ich zajmowało — mama szczęśliwa że Kamilla dobrze się bawiła — Kamilla najszczęśliwsza, bo widziała kilkunastu w ciągu jednego wieczoru przywabionych jéj uśmiechem i już prawie przykutych do jéj tryumfalnego wozu, jedna tylko Walerja, spokojnie zasnęła, bo ona nie doznając tyle troskliwéj opieki mamy ile Kamilla; nie umiała uczuć ani zachwycać się temi zwodniczemi czarami świata; — ach! ona podobno z nich najszczęśliwsza.

Nazajutrz wstały dopiero w południe, czekał już na nie z życzeniemi Nowego roku, przyjaciel domu, przyjaciel szczery i prawdziwy. — Pan Karol żył w przyjaznych stosunkach z panem N. — po jego śmierci, troskliwie opiekował się pozostałą w smutku i małym dostatku rodziną, dzielił z niemi własne fundusze, bo sam będąc, nie wielkie miał wydatki. — Wielką pociechą dla osierociałéj rodziny jest bezwątpienia dobry przyjaciel, bo któż zastąpi tego, który radą i pracą gorliwie ją wspierał, któż otrze łzę z niedostatku płynącą, przyjaciel taki wszystko poświęci, by jéj nieść pomoc i zapewnić utrzymanie chociaż nie okazałe ale spokojne i uczciwe — Takim zupełnie był pan

Kaaol, urządził interessa pani N. w ten sposób, że małą sumkę pozostałą w gotówce po jéj mężu, ulokował na bezpieczny procent, który cokolwiek ich dochody powiększał, pensję emerytalną sam regularnie odbierał i odnosił. — Okazywano mu też za to tysiące uprzejmości, miłych słówek nasłuchał się zawsze bez liku — wtenczas tylko gdy czynił uwagę żeby zastosowano wydatki do szczupłych dochodów, wtenczas, nawet i wtenczas choć nie szczerze, uśmiechano się do niego—Lubił on bardzo Kamillę, bo kogóż nie zajmie zalotnica?

— Po zwykłych życzeniach Nowego roku — dołączono dla niego jedno, żeby w tym roku pojął małżonkę którąby jego dobroci była godną.

— Jeżeli pani szczerze tak życzysz, nie odmów mi ręki Kamilli, wiesz dobrze ile ją kocham, stosunki nasze więcéj nas zbliżą do siebie, a wspólnie żyjąc będziemy spokojni i szczęśliwi.

— Kochany panie Karolu, czyliżbym tobie mogła odmówić, któż na to więcéj zasłużył.

—Ale może panna Kamilla inne ma zamiary.

—O! nie zważaj na to, panie Karolu—Kamilla będzie cię kochać, ona chętnie z tobą los swój podzieli.

—Pomów pani z Kamillą, a po jéj zezwoleniu zdaje mi się nie będziemy potrzebowali długo zwlekać z dopełnieniem naszych życzeń.

—Co do mnie, łaskawy panie—pragnęłabym żeby dopiero za dwa lata to nastąpiło.—Kamilla ma dopiero 16ty rok, mało doświadczenia, a za dwa lata bedzie umiała więcéj się zastanowić nad tak ważnym krokiem który ma uczynić.

—Pani jako dobra matka będziesz miała najlepiéj to załatwić—zgadzam się z nią zupełnie, jednakże proszę o zapewnienie że Kamillę będę posiadał za małżonkę.

—Nikt, tylko pan, kochany panie Karolu!—ufaj nam, bądź pewny że wdzięczność zawsze nami powodować będzie.

Za nadejściem Kamilli i Waleryi rozmowa do innego przedmiotu zwróconą została, pan Karol zaprojektował spacer na Wiejską kawę, namyślano się, szczególniéj Kamilli nie było to

do smaku, bo się spodziewała Leona—lecz gdy widziała że trudno odmówić, rzekła:

Ale pojedziemy koczęm, panie Karolu!—o! ja wiem, kochany pan Karol już o tem pamiętał.

Kogóżby nie ujęła taka przymówka ładnéj panienki, a szczególniéj gdy ją kochamy.—Pan Karol chciał nająć dorożkę, lecz teraz pożegnawszy je poszedł pożyczyć od jednego z obywateli na kilka godzin powozu.

Tymczasem mama dobrodziejka zatrudniwszy Walerję prasowaniem kołnierzyków do spaceru, wzięła Kamillę do drugiego pokoju i cichym głosem opowiedziała jéj życzenia Pana Karola!

—Moja mamuniu! pan Karol już nie tak młody, a u nas przecież bywają inni którzy nie bez celu nasz dom odwiedzają.

—Ale moje życie! moja Kamilciu! Pan Karol ma znaczne dochody, będziesz żyła wystawnie, a gdy dojdziesz do lat pełnych, fundusze nasze się zmniejszą bo twoja pensja nie będzie już wypłacaną.—Namyśl się dobrze—bo ja przyrzekłam panu Karolowi że otrzyma twą rękę za dwa lata.

—O! kochana mamuniu! jak mamunia udecydowała, niech tak będzie.

—Widzisz moja Kamilciu! przez ten czas będzie pan Karol jeszcze życzliwszym i troskliwszym dla nas, nic na tem nie stracisz, a przykro byłoby mu odmówić.

Tak tedy życzenia pana Karola pożądanie uzupełnione być miały.

O godzinie 4téj zajechał powóz, pan Karol zaprosił je i Wiejska kawa przyjęła do swé miłej oranżeryi nowo przybyłe osoby.—W krótkim czasie małe te grono powiększyło się przybyciem kilku z znajoméj P. N. młodzieży.—Był także i Leon,—Kamilla tryumfowała że tyle serc podbija, pan Karol może niechętnie to widział—ale jak każdy poczciwy, ufał danemu słowu.— W kilka tygodni po tym spacerze, pan Karol jako zdatny i gorliwy urzędnik został powołany do czynności na prowincję—tam nadwerężył zdrowie tak dalece; iż za powrotem do stolicy, był przymuszony przez pół roku nie opuszczać swego mieszkania.— Zacny ten człowiek, żyjący dla dobra P. N. ubolewał że ich odwiedzić nie może, lecz taż sama opieka i

troskliwość o ich potrzeby nie dała im na chwilę uczuć że on cierpi — bo jak najregularniéj przesyłał im pensję i zaspakajał wszystkie domowe potrzeby i przyjemności. — Samotny, jedyną miał pociechę gdy odebrał list od kochanéj Kamilli, gdy w nim wyczytał lubą nadzieję, a były nawet chwile że był odwiedzany przez rodzinę która wielki dług wdzięczności u niego zaciągnęła.

III.

Kobieta jest najpiękniejszym utworem na ziemi — a chlubne jéj przeznaczenie jest życia naszego osłoda.

Niewinna jak aniołek, wita ten świat na którym tak ważną ma odegrać rolę — dziecinne lata płyną spokojnie, troskliwe oko matki pro-

wadzi jéj niepewne kroki, baczy na każde jéj tchnienie, wpaja w nią cnoty, skromność, łagodność i dobroć, a zalety które świat córce przyzna, są najmilszą dla téj opiekunki nagrodą. — Tak postępuje dobra matka, i rozsądna kobieta, a gdy z późniejszym wiekiem, wzbudzą się uśpione dotychczas uczucia i zatlą w sercu téj lubéj istoty, iskrą najczystszéj miłości— i przedmiot jéj godzien będzie jéj posiadania, rozsądna matka z łzami radości, błogosławi przyszły los ukochanéj swojéj córki.

Lecz są matki— które niestety inną dla szczęścia swojéj córki obierają drogę — nie ciche skromne pochwały cnoty, nie szacunek publiczny kieruje ich życzeniem — one pragną by ich córka była bożyszczem któremu czołem wszysey bić mają. — Biedne matki! one chcą słyszeć żeby wszyscy na ich córkę wołali — jak ona piękna, jak uprzejma — a zapominają, że do tego potrzebne: jak dobra i cnotliwa.

Piękność ułudzi mężczyznę, uprzejmość podbije jego serce — lecz gdy nie znajdzie stałości, nie odda swojego serca. —Motylek swobo-

dnie buja nad kwiatka koroną, ten go życzliwie przyjmuje, miła harmonja łączy ich z sobą i zdaje się że ich natura w jedno w téj chwili spoiła — lecz nadlatuje towarzysz skrzydlaty i tenże sam kwiatek i jemu słodyczy udziela, przybywa trzeci i czwarty — wtenczas po mału każdy odlatuje — i więcéj nigdy nie wraca — przyleci inny i znowu kwiatek szczęśliwy, dla wszystkich równie życzliwy — więdnie i niknie, a wówczas dumny motylek już go nie dotknie, nie ulituje się nad nim, bo płochy kwiatek nie jednemu, lecz wszystkim się uśmiechał, i hojnie swą słodycz rozdzielał.

Tak i kobieta często szczęśliwa że jéj tysiące hołdują, nie pomni że dla jednego tylko jéj serce stworzone, wszystkim uprzejma — każdego pragnie zająć, ułudzić, i tryumfuje gdy widzi zazdroszczących sobie rywali. — O! mylne i smutne takie rachuby — i młodzian zaślepiony gdy ujrzy że każdy równe znajduje uczucia, — opuszcza niestałą i nawet szacunek dla niéj utraci.

Kamilla kochała Leona, lecz to było przed

półroczem — od tego czasu równeż uczucia podzielała z Alfredem — po nim z Ludwikiem — a dziś wszystkie jéj myśli zdaje się Alfons zajmować.

Alfons jest młodzian przyjemny, mający małe fundusze, a lubiący żyć modnie i salonowo— wielka szkoda, bo z resztą dobry chłopczyna.— Bywając ciągle na wistowych wieczorach, pokochał Kamillę — podobała mu się jej wesołość, jéj uśmiech, jéj dowcip.

Kamilla swobodna i płocha, gdy jéj przed kwartałem ktoś wspomniał że Alfons jéj mężem zostanie, rzekła: Alfons na kochanka dobry, ale na męża nigdy — dziś ta surowa Kamilla kocha Alfonsa i pieści się nadzieją przyszłego z nim połączenia.

A nasz poczciwy pan Karol czy pomyślał że tak go oszukują? — łudzony ciągle, sądzi że Kamilla dla niego wszystkie poświęca chwile, bo jakże mógł inaczéj sądzić, gdy codzienne listy pisane do niego ręką Kamilli, były tak czułe, tak słodkie, iż mu prawdziwą ulgę w samotności przynosiły. —On jéj wzajemnie z całą mocą swojego przywiązania odpisywał, ciesząc się

że wkrótce z nią się połączy — a ile razy Kamilla z matką go odwiedzała, doznawał niemal pieszczot z jéj strony—biedny! nie wiedział że młoda dziewica może być tak wykształconą w sztuce łudzenia.—Żył on dla niéj tylko—cokolwiek pomyślała, już wypełnić się starał — a ta nie dobra, płocha i zalotna Kamilla, taką komedję z nim odgrywała.

Przyszła nareszcie chwila, że stan zdrowia pana Karola zupełnie się polepszył, odtąd coś dziennie znowu odwiedzał swoją Kamillę—lecz ta doświadczona Kamilla i teraz potrafiła ukryć przed nim miłość dla Alfonsa—tak urządzała wizyty tegoż, iż nigdy nie przyszedł wówczas, gdy dobry i poczciwy przyjaciel o ich losie myślał, a lekkomyślna matka, nie pomna ile winnâ szacunku i wdzięczności dla tego człowieka, pobłażała swojéj wychowance — bo ona jéj serce kształciła.

Tak upływały miesiące, aż razu jednego przypomniał pan Karol matce, dane mu przyrzeczenie, zmięszała się ta kobieta, bo cóż miała odpowiedzieć.—Prosiła go, żeby był cierpliwy, że córce w tych dniach powie o jego życzeniu.—

W istocie dotrzymała słowa—ale mogła przewidzieć jaki jéj słów będzie skutek. — Kamilla odmówiła matce, — dała już bowiem słowo Alfonsowi. — Wszelkie przedstawienia ze strony matki czynione, która poznała błąd popełniony, na nic się nie przydały—a gdy jéj matka powiedziała żeby to dla zapewnienia jéj losu uczyniła, wyrzekła: że mamunia będzie szczęśliwą, ale ona padnie ofiarą.

Cóż miała czynić w przykrém położeniu będąca matka, była pewną że dotkliwym ciosem ugodzi serce pana Karola.

Nie miała odwagi wręcz mu odmówić, prosiła go aby sam Kamilli się oświadczył.

Następnego dnia gdy zwykła godzina nadeszła w któréj ich pan Karol odwiedzał, a właśnie miał po stanowczą przyjść odpowiedź—nieczyste sumienie wyprowadziło panią N. z domu, wzięła Walerję z sobą i samą Kamillę zostawiła.

Z pełném nadziei sercem, przyjechał zacny opiekun, spokojny, pewny że cel życzeń jego dziś zostanie spełnionym, wesoło wchodzi do pokoju.

Lecz zaledwie w drzwiach się ukazał, Kamilla przybrawszy ton rozpaczy, i ułożywszy traiczną postawę, temi go przywitała słowy.

—Panie Karolu! wiem po co pan przyszedłeś, ale przysięgam ci że ja tylko do Boga i do Alfonsa należę.

—Kamillo! Kamillo! zastanów się, wszak ja nic nie mówię.

—Wiem wszystko, mamunia mi mówiła.

—I matka pozwoliła na to.

—Ja Alfonsowi dałam słowo.

—A ja go przed dwoma laty w imieniu twojém od matki otrzymałem.

—Błagam pana, nie wspominaj mi o tém.

—Bądź spokojna Kamillo — wyrzutów czynić ci nie będę—nie mogę być mężem, chcę być twoim jak dotąd przyjacielem, zbłądziłaś, ale może będziesz szczęśliwszą z Alfonsem—polegaj na mojéj przyjaźni i w czémkolwiek będę mógł na polepszenie twojego losu wpływać—pamiętaj że we mnie znajdziesz zawsze przyjaciela.

Te wyrazy szlachetnego Karola, wzruszyły Kamillę, spazmy, łkania, były jedyną odpowiedzią.—Wówczas nadeszła matka—ze łzami w o-

czach powitał ją P. Karol, a po krótkiéj rozmowie pożegnał.

Za tyle dobrodziejstw, za tyle wylania się dla téj rodziny, któréj był ojcem, pociechą i wsparciem, jakąż widział nagrodę? — Ale świat taki, za dobre serce zwykle niewdzięcznością płaci, dopiero wówczas gdy to serce ostygnie, gdy je mogiła pokryje, niewdzięcznik gorącą łzę uroni, lecz ta łza nie zbudzi, nie ożywi już serca, które z żalem dla niego do ziemi zstąpiło.

IV.

W pół roku później Kamilla straciła matkę,— gwałtowna słabość wyrwała ją z objęć strapionéj córki—czas zaślubin został odłożony do ukończenia żałoby.

W pięknéj okolicy Podola mieszkała pani S. dawna przyjaciółka matki Kamilli—posiadała o-

na znaczne i rozległe włości—bezdzietna, i jak tylko się dowiedziała o smutku Kamilli, wezwała ją do siebie, by w spokojnéj ustroni złagodziła boleść po utracie matki.

Przykre jéj było oddalenie się od ulubionego przedmiotu, lecz zbawienne dla niéj przyniosło skutki—jéj serce skołatane tylu burzami, spokojniéj teraz biło—przebiegając myślą wszystkie dni ubiegłe, często żałowała że tak mało wówczas miała doświadczenia.

Powolnie jéj upływały godziny, czas ukończenia żałoby leniwym zbliżał się krokiem.

Minęło lato—chłodne i zmienne powietrze ogłaszało panowanie jesieni, gdy pani S. z swym mężem i Kamillą spieszyły do Warszawy.

Tkliwe było powitanie po tak długiém niewidzeniu się narzeczonych.— Wszyscy spostrzegli w Kamilli wielką zmianę—zbytnia wesołość zniknęła—a jéj miejsce zajął spokojny lecz smętny uśmiech—ta zmiana zjednała jéj serca wszystkich—wszędzie powtarzano że jeżeli zachowa tę spokojność i stałość uczuć, może będzie szczęśliwa.

Dnia 8 Września 183... w uroczyste święto Narodzenia N. M. odbył się obrząd zaślubin Alfonsa i Kamilli w kościołku XX: Trynitarzy na Solcu.

Uroczysta cisza kaplicy, święty dźwięk organów, podwajały wielkość tego obrzędu. — Gdy kapłan łączył dłonie nowożeńców, wszyscy płakali cisnąc się do ołtarza, jeden tylko człowiek klęczał z daleka nie widziany od nigo i westchnąwszy głęboko rzekł: daj Boże! aby była szczęśliwa.

K..... Z.

DO KOCHANKI.

Czemu patrzysz z boku,
Moja droga złota.
U mnie miłość w oku.
U ciebie — pustota.
Kocham — po sto razy
Mówię ci dziewczyno,

A moje wyrazy,
Na powietrzu giną,
Kocham — serce moje.
Co dzień ci powiada,
Ja swoje ty swoje,
Słuchać mnie nie rada,
Ej — ej — nie dróż-no się,
W świecie dziewcząt wiele,
Widziałem ja Zosię,
Onegdaj w kościele,
Widziałem ja Kasię,
Jak w tańcu pląsała,
Widziałem ja Basię,
Jak na mnie spojrzała,
Wszystkie mowią o mnie,
Żem chłopiec nie lada,
Każda patrzy skromnie,
Jednak kochać rada,
Za cóż patrzysz z boku,
Moja droga złota,
U mnie miłość w oku,
U ciebie pustota.

Już to tydzień cały,
Błagam nadaremnie,
O kwiateczek mały,
Tý stronisz ode mnie,
Całus — wielkaż zbrodnia,
A tyś tak ostrożną.
Błagam od tygodnia,
A błagam napróżno,
Zaśpiewaj — nie śpiewa,
Zawsze cóś przeszkadza,
To mnie mama wzywa,
To chrypka zawadza,
To wymówek wiele,
To jest — tego nie ma.
Wiosna kwiatki ściele,
Zabija je zima,
Piękny pączek róży,
Skoro się rozwinie,
Jesień niebo chmurzy,
Kwiatek ginie — ginie,
Kiedy latka młode,
Dziewcze piękne — hoże,

Wiek zmieni urodę,
Spojrzéć żal się Boże,
Przyjdzie starość sroga,
Często nazbyt skora,
Ej nie bądź tak droga,
Kochaj poki pora.

J. Ł.

POWOLNOŚĆ CHARAKTERU.

Erazm Boel, Hollender, budowniczy okrętowy, był dość bogatym aby mógł żyć spokojnie, i uczynił to o ile mógł, bo jego żona Anna, która kiedyś była bardzo piękną, a teraz już nie piękna, pozostała jednak kłótliwą tak jak dawniéj,

nie dozwalała mu być zupełnie spokojnym, Jednakże było w jéj gniewie dużo rozmaitości, raz mruczała i gderała, drugi raz łajała i huczała, a jeśli nie mruczała, nie gderała, nie łajała i huczała wtedy grzmiała i piorunowała, a to wszystko z nadzwyczajną zręcznością. Majster Erazm Boel musiał to przyznać, i chociaż nie raz może pragnął żeby Anna zamiast wdzięków, postradała nieco z swojéj kłótliwości, chociaż nie raz mówił że wolałby wszystkie szpary okrętu zatkać, jak usta jednéj kobiety, był jednak zbyt rodowitym Holendrem, i nigdy się nadto nie unosił. Utrzymywał on że powolność charakteru, wszędzie, a najbardziéj w małżeństwie, jest najlepszym pomocnikiem, dla tego dozwalał przechodzić burzy, najwięcéj raz zapytawszy: „ Anne, czy już dziś znowu nie brak ci tchu? poczém wprawdzie burza z większą gwałtownością zwracała się i piekielny grad słów spadał w podwójnéj gęstości.

Tym razem jednak zaczęło już być nadto dla majstra Boel. Jego ośmnastoletnia córka Jakobina miała koniecznie i nieodmiennie pójść

za margrabiego Tenville, człowieka pięćdziesiąt-letniego, który raz już został wdowcem, a od drugiéj żony żywo był porzucony; tamtę zagryzł swojém postępowanie, a ta nie chciała się dać zagryść, dla tego opuściła go, a on ogłosił ją za kobietę bez dobrego tonu, i nie pytał się już o nią wcale. Ten margrabia Tenville, prowadził dotąd dość wesołe życie. Był on najprzód wielkim lubownikiem napojów, z rana mówił o tém czego nie wiedział, a wieczorem znowu nie wiedział co mówił, potém, namiętnie lubił konie, które naturalnie wywoziły mu mnóstwo pieniędzy z kieszeni; daléj, był zwolennikiem mody, żaden krawiec nie był mu dość zręcznym, nakoniec był skłonnym do miłostek, co w jego wieku także tanio nie przychodzi. Co mu zostało z jego majątku przy tych czterech attakach, to przegrywał przy zielonym stoliku, téj łące szatana. Słowem, dobra magrabiego były tak zadłużone, że musiałby być niepojęcie zręcznym rachmistrzem, ktoby potrafił wyliczyć że z całych dóbr margrabiego, przynajmniéj jedno gniazdo wróbli

do niego należy. Nic za tem dziwnego, że margrabia starał się za pomocą swego znakomitego imienia, ułowić jeszcze jaką młodą żonę, rozumie się z świeżym posagem, co mu się już kilka razy nie udało. Tym razem jednak rzuciwszy okiem na małą Jakobinę, córkę bogatego majstra Erazma Boel, był już pewnym wygrania, bo pani Anna, pani swego pana męża, była mu posiłkiem, z całą kobiecą próżnością, któréj nadzwyczajnie pochlebiała nadzieja posiadania zięcia margrabiego i z językiem, który już dość dawno odbył swój piędziesiąt-letni jubileusz, a z każdym rokiem nabywał większéj wprawy w zakłoceniu, zmięszaniu i nastraszeniu wszystkich.

Erazm Boel jednak nie był tak bardzo trwożnym Siedział on w dniu 26 Listopada 1739 roku wróciwszy z długiéj przechadzki po nadbrzeżnych warsztatach okrętowych w Amsterdamie, przed kominem, a pani Anna miała do niego długą przemowę, która tak się zakończyła. Gdybym nie myślała i nie robiła za ciebie, bylibyśmy dotychczas w stosunkach tylko z pro-

stym ludem okrętowym, ale ja odstręczyłem tego rodzaju gości, postarałem się dla mojéj córki o francuzką guwernantkę, aby naszą Jakobinę w świat wprowadziła, i teraz właśnie córka nasza uda się w świat i to w świat wielki, a my pójdziemy z nią razem, i dla tego ona musi pójść za margrabiego francuzkiego. Przed godziną, podczas kiedyś się włóczył nad brzegiem, przybył on tu znowu z dóbr swoich, pieczeń już się rumieni na rożnie, wino zaraz każę przynieść z piwnicy, bo dziś wieczorem będą zaręczyny; proszę bardzo nie sprzeciwiać mi się wcale, bo ja także muszę się jeszcze na tę uroczystość należycie ustroić. Bądź mi grzecznym względem margrabiego, i milcz, to będzie najlepiéj! — To rzekłszy pani Anna odwróciła się tak spiesznie że aż cug w powietrzu sprawiła i mężnie odeszła, aby dziś swój talent rozkazywania w zupełnem świetle przedstawić.

Pan Erazm Boel, został na swojem miejscu, i nic więcéj nie uczynił, tylko odwróciwszy gło-

wę rzekł do swego mopsa: „Fiat, (tak się zwał mops) na to podobno nie przystaniemy.

* * *

O jedno piętro wyżéj siedziała piękna Jakóbina i płakała. Matka nagadała jéj tak wiele o korzyściach małżeństwa z margrabią Tenville, że młode serce Jakóbiny było tem nieco zadowolone, jednak za pierszem spojrzeniem na przeznaczonego jéj narzeczonego przeszedł ją lękki przestrach—dziś, gdy drugi raz przed nią stanął jak lalka na jarmarku, poważnie kłaniając się głową na prawo i na lewo, przestrach ten stał się zupełnym. Z rozpaczą pobiegła do swego pokoju, co matka Anna wzięła za dowód panieńskiéj skromności. Wprawdzie pani Anna nie wiedziała że młody kuzynek Robert od niejakiego czasu zniszczył równowagę w sercu Jakóbiny. W téj chwili Robert mógłby od swo-

jéj kuzynki dowiedzieć się coś takiego, za coby chętnie połowę swego życia oddał, ale kuzynkowi Robertowi wzbroniony był wstęp do domu, bo ojciec jego pewnego razu powiedział pani Annie ostrą prawdę, a za to obrażona postanowiła mścić się na jego potomkach, gdyby można jeszcze godzinę dłużéj nad wieczność. Tymczasem do pokoju Jakóbinki zamiast Roberta weszła pani Parfait, francuzka, która jeszcze niekiedy dawała jéj lekcje. Tym razem lekcja nie chciała się udawać, jednakże godzina nie napróżno upłynęła. Jakóbinka opowiedziała swojej guwernantce całą historję grożącego jéj niebezpieczeństwa, francuzka cieszyła ją jak mogła i zapytała nakoniec, czy nie mogłaby kiedy nie widziana zobaczyć pana narzeczonego; poczem uradzono że madame Parfait dziś wieczorem ukryje się w alkowie przyległéj do sali jadalnéj gdzie i widzieć wszystko i słyszeć będzie mogła. Obie mówiły jeszcze coś między sobą, czego autor nie mógł słyszeć, i Jakóbina ukazała się przy wieczerzy dość spokojną.

Tu matka Anna miała trudną pozycję; pan margrabia kilka razy w rozmaity sposób sterował

ku lądowi deklaracji, ale majster Boel zdawał się być głuchoniemym, bo nic nie słuchał i nie mówił, nakoniec zapalił fajkę i zniknął wśród jéj dymu, bo kto go palącego fajkę zobaczył, mógł zaraz pomyśleć o machinach parowych, a dziś rozdymał on ją daleko silniéj, aby oddmuchnąć pana margrabiego, który nie lubił dymu. Gdy jednak w końcu matka Anna wprost zaczęła rozmowę o zaręczynach i wspomniała że majster Boel wyliczy gotówką 300,000 złotych posagu, z pośród dymu wydobyło się bardzo poważne „Nie!“ które przestrachem przejęło margrabiego; matka Anna jednak nie dała się zbić z terminu, powtórzyła to co powiedziała i właśnie pierścionki miały być zmienione, nastąpiła chwila milczenia—w tém dał się słyszeć przytłumiony głos mówiący po francuzku, „Tenville, co przyrzekłeś twojéj pierwszej żonie i gdzie jest druga? Tylko margrabia i Jakebina zrozumieli te słowa, tamten zbladł, ta niemal co odżyła, a Erazm Boel dobył głowę z pośród dymu szukając osoby która ten głos wydała, ale jej nigdzie nie znaleziono. Potem zapytał córki co znaczyły wyrazy wymówione po fran-

szku, a gdy mu je wytłomaczyła rzekł: „Ja także proszę o odpowiedź na to pytanie, ale do tego będzie czas jutro. Dobranoc! — Tym sposobem nie przyszło na ten raz do zaręczyn.

* * *

Z ciężką głową — bo wino i wypadki podczas wieczerzy zmięszały ją nieco — i nieco zakłopotany owem zapytaniem które mu wlazło w kości, udał się pan margrabia do swego sypialnego pokoju, na który pani Anna odstąpiła swojéj gotowalni. Jeszcze w łóżku przez niejaki czas rozmyślał nazbyt jasno nad tym wypadkiem tak nie zwyczajnym, i nakoniec zasnął odkładając myślenie na dzień następny. Ale któż opisze jego przerażenie, kiedy śród widnéj od księżyca nocy, przebudzony został tem samem strasznem zapytaniem które

zabrzmiało ponuro przy jego uchu, i otworzywszy oczy postrzegł w nogach łożka widmo postaci kobiecéj, które po trzeci raz głośno powtorzyło to samo zapytanie, i dodało, że będzie go w ten sposób co noc odwiedzać, jeśli wbrew wykonanéj na łożu śmiertelnem swéj pierszéj małżonki przysiędze, że po jéj śmierci już się nigdy nie ożeni,— nie zrzeknie się swojéj ochoty do małżeństwa, Francuz jest jak wiadomo zawsze grzeczny, choćby w największém pomięszaniu. Dla tego margrabia skoro zebrał tyle siły że mógł przemówić, rzekł. — „Najszanowniejsza moja nieboszko żono, chciéj nie czynić sobie nadal téj subiekcji, a jeźli koniecznie masz tu przychodzić, pokaż mi się przynajmniéj w postaci nie tak strasznéj," — przy tym wymuszonym żarciku, margrabia drżał jak listek. — Czy tak? odpowiedziało widmo, otrząsnęło się, i gdy margrabia odważył się znowu podnieść oczy, siedziała przed nim jego druga, żywa żona, obsypując go wyrzutami. Drugi raz opuściła go odwaga, i tym razem śród potoczystéj wymowy złowrogjéj postaci, nie mógł znaleść ani chwili pauzy, a gdy na-

koniec porwała z blisko stojącéj toalety nożyczki, i zagroziła że potrafi dotknąć niemi jego serca, jeśli nie zaniecha swoich zalotów do panny Jakobiny, margrabia zaczął całém gardłem krzyczeć, postać znikła, a cały dom zbudził się jakby pożar wybuchnął.

Pan margrabia nie myślał już o zaręczynach z panną Jakóbiną, umiał jednak jeszcze tak się zręcznie sprawić, że majster Boel pożyczył mu znaczną sumkę, z któréj nigdy w życiu nie zobaczył ani szeląga. Dopiero gdy margrabia odjechał, pani Parfait przyszła do Jakóbiny i opowiedziała jéj zdarzenie owéj nocy, i wytłómaczyła jéj w jaki sposób użyła na dobre zabobonnéj trwogi swego ex-męża, bo ona to była ową drugą żoną która go dobrowolnie odstąpiła. Pan margrabia już podobno nie myślał o małżeństwie, ale co nam do niego, teraz jeszcze raz musiemy rzucić okiem na dom majstra Boel.

Pani Anna dowiedziawszy się o prawdziwym stanie rzeczy, była nieco zawstydzoną, mówiła jeszcze zawsze dużo ale już nie o margrabim Tenville. Piękny kuzynek umiał korzystać

z tych szczęśliwych godzin i w dniu w którym wiadomość o wielkiéj bitwie morskiéj wygranéj przez admirała Temp przeciw Anglikom, zachwyciła wszystkich Holendrów, o tyle, ma się rozumieć, ile prawdziwi Holendrzy mogą być zachwyconemi, majster Erazm Boel, podniósł się także w całej swéj sile, i rzekł do swego mopsa, „Fiat, dziś, raz przynajmniéj musiemy postawić na swojem, bo Robert jest dzielnym budowniczym!—i postawił na swojem; zaprosił bowiem Roberta na wieczerzę i nim zasiedli do stołu, wziął Roberta i Jakóbinę za ręce i rzekł: „Kochajcie się moje dzieci i bądźcie poczciwemi, a teraz zasiądźmy do wieczerzy, bo matka Anna dzisiaj smaczniéj niż kiedykolwiek ugotowała.

PIOSNKA O LUDMILE.

Ja Ludmile wierzę
Bogdaj to Ludmila!
Co wczoraj mówiła,
Dziś zrobiła szczerze
Ni się nie zdragała
Ani nie zwlóczyła

Lecz pocałowała,
Bogdaj to Ludmila!
Często Alfons żywy
Swojéj lubéj Zosi
Pięknéj czułéj tkliwéj
O całusek prosi,
A ona go zwodzi,
Z całuskiem odsyła;
Zwodzić sie nie godzi,
Bogdaj to Ludmila!
Długo nie da prosić
Bylebyś był zgrabny
Czuły i powabny.
To dosyć—to dosyć;
Jużeś dla niej miły
Już dla niéj jedyny.
By wszystkie dziewczyny,
Jak Ludmiła były,
By się nie zdragały,
Ze swoim buziakiem.
A postępkiem takim,

Więcéj by zyskały,
Sprobujcie dziewczęta,
Każda popamięta,
Powab mają jaki,
Chłopczyków buziaki.

J. Ł.

DAGEROTYP

W HAREMIE.

Wiadomo że sławny malarz francuzki H. V... był niedawno u paszy Egiptu. Te odwiedziny pamiętnemi będą przez wypadek prawdziwie wschodni, który powierzył nam jeden z naszych przyjaciół.

Już kilka tygodni sławny nasz artysta znaj-

dował się w Alexandrji. Mieszkając w pałacu vice króla, codziennie przebiegał miasto okryty wielkim płaszczem egipskim; jego wycieczki zmuszały go do przechodzenia co rano przez tę samą ulicę, u podnoża niedostępnych terasów, gdzie używały przechadzki odaliski vice-króla.

Pewnego dnia gdy wyszedłszy bardzo rano znalazł się prawie sam jeden na ulicy, upadł u nóg jego przedmiot, który zdawał się być dla niego przeznaczonym... Podniosłszy, ujrzał że to była biała róża przewiązana różową wstążką, a podobnegoż koloru szarfa powiewała na murze terasu.

— Co to ma znaczyć? zapytał sam siebie malarz z podziwieniem, — i przypominając sobie powieści tysiąca nocy, dodał: — Jest to oświadczenie miłości.

Któżby nie zgadł znaczenia téj symbolicznéj przesyłki! Róża biała mogłaż co innego znaczyć, jak: — „Jestem dziewicą haremu;—a różowa wstążka u jéj spodu zawiązana: —

„ Pałam miłością dla ciebie, którego jestem niewolnicą.“

Nieszczęściem nasz sławny artysta, jest człowiekiem bardzo szanownym, i jego wieniec sławy męsza się z siwemi włosami.

— Wzięto mię za kogoś innego, rzekł z uśmiechem filozoficznym.

I spojrzawszy około siebie na ulicy, zdziwił się widząc ją zupełnie pustą.

— Jeśli ta róża nie jest dla mnie, mam przynajmniéj prawo zachowania jéj.

Potem szedł daléj, napawając się wonią pięknego kwiata, i mimowolnie dumając nad tém dziwaczném zdarzeniem.

Myślał o niém jeszcze nazajutrz z rana, wracając na to samo miejsce, wtém druga róża padła u nóg jego, i znowu ujrzał nad swoją głową powiewającą różową szarfę. Trzeci kwiat i trzeci znak nazajutrz i tak ciągle przez cały tydzień.

— To już niewątpliwie dla mnie, pomyślał artysta podnosząc szóstą różę: nie myśląc wcale o tem, musiałem ująć którą z odalisk mego gospodarza.

H. V. był mocno zajęty tą okolicznością i wchodząc do pałacu Mehmeda Ali, był pomięszany i wyrzucał sobie mimowolną winę. Nie mógł nic dostrzedz takiego coby go bliżéj wprowadziło na ślad nieznajoméj; nie widywał ani cienia kobiety w pałacu vice-króla, i róże przestały już spadać z terasów haremu.

Tymczasem malarz i vice-król miewali codziennie długie rozmowy. W czasie jednéj z nich H. V. wykładał paszy teorję dagerotypu. Mehmed Ali, tak był zachwycony cudami tego odkrycia, że chciał własną ręką uczynić z nim doświadczenie, i zaczął po całych dniach uczyć się przepisów postępowania z tém narzędziem! W kilka dni był już tyle obeznany z temi tajemnicami że chciał uroczyście dać dowody swojego talentu.

— Jeśli jutro będzie pogoda, rzekł do malarza, pójdziemy obejrzeć roboty w porcie, każę zanieść za nami twoje cudowne narzędzie, i sam zajmę się robotą.

Nazajutrz, słońce Egiptu było nadzwykle świetne; vice-król i malarz wyjechali z kilkunastu oficerami. W chwili gdy przejeżdżali pod

murami terasów, H. V. wstrzymał cugle swego konia.

Wspaniały bukiet spadł na jego siodło i całe towarzystwo winszowało mu tego szczęścia.

—Drugi rozdział mego romansu, pomyślał malarz. Widząc że towarzysze jego z wielką uwagą przypatrują się bukietowi, zaczął sam oglądać go ciekawie. Kwiaty w nim były równie rzadkie jak piękne, a układ ich dziwaczny. Był w nim niewątpliwie ukryty język pięknych hieroglifów, ale nasz artysta nie rozumiał ich, i to go martwiło niezmiernie.

—Pragniesz pan odgadnąć znaczenie tego balsamicznego bukietu, rzekł mu jeden młody oficer mameluków paszy, mówiący doskonale po francuzku; jeśli mi pan pozwolisz przyjrzeć mu się dobrze, wytłómaczę go panu dokładnie.

—Oh, bardzo proszę, odrzekł malarz oddając oficerowi bukiet.

Ten obejrzał go kilkakrotnie ze wszech stron, powąchał kilka kwiatów i tak się wyraził:

„Bicie mego serca mówi mi że cię kocham, czy twoje serce mówi ci także że mię kochasz?

Dusza moja jest napełniona czystością uczuć,— czy twoja dusza także jest wolną od niestałości? Wsdycham do uwolnienia się z miejsca w którem jestem zamkniętą, dla tego tylko aby zostać twoją niewolnicą. Chcesz że nazywać się moim panem i uwolnić mię? Nie chodź u stóp terasu zrana, ale chodź wieczorem. Róże białe znowu padać będą na ciebie, o mój kochany, a woń róż równie jest przyjemną wieczorem jak zrana. Jeśli mię kiedykolwiek spotkasz, poznasz mię po szarfie różowej.

Skończywszy to czytanie nowego rodzaju, oficer oddał bukiet artyście, który tym razem otrzymawszy powinszowanie samego nawet paszy, stał się zamyślonym.

—Dziękuje panu bardzo, rzekł do grzecznego tłómacza, ałe zarazem proszę, chciéj dokończyć dzieła, układając odpowiedź godną tego listu.

—To bardzo łatwo, odpowiedział oficer rozwiązując bukiet.

I zmieniając lekko układ kwiatów, zmienił zarazem w następujący sposób ich znaczenie.

„ Tak, bicie mego serca mówi mi że cię kocham, dusza moja równie jest zapełniona czystemi uczuciami i wolna od niestałości! Uwolnię cię; ale pod tym warunkiem, żebym był twoim niewolnikiem a nie panem. Dziś wieczorem czekać będę upominka od ciebie pod murami terasów, o moja ulubiona! Wszystkie moje myśli tobą są zajęte równie wieczorem jak rano. Wszędzie gdzie mię spotkasz poznasz mię po błękitnym płaszczu.

— Wybornie! wybornie, zawołał malarz odbierając bukiet.

— Wybornie, powtórzył cały orszak który w téj chwili zbliżył się do portu.

Tam przez kilka chwil jeszcze, mówiono o awanturze artysty, ale wkrótce wszyscy, a nawet on sam, zapomnieli o tem, zająwszy się operacją dagerotypu.

Dzięki przestrogom i pomocy malarza, vicekról skończył swoje dzieło chlubnie, i na metalu wystawionym w ciemni optycznéj, ogniste słońce, które oświecało port i miasto, odrysowało z zupełną dokładnością, zatokę napełnioną okrętami,szerokie morze błyszczące w oddali,

czarne skały z latarniami morskiemi, pomięszane z czerwonemi granitami wysuwającemi się na morze, białe domy nowo wzrosłego miasta, unoszące się nad ponuremi zwaliskami Nekropolis, nieruchomi Arabowie w pośród mogił albo z wzniesionemi rękami na szczytach minaretów, wszystko to utrwaliło się w dagerotypie. Trzy razy pasza powtarzał doświadczenie, w różnych punktach widzenia, i trzykrotnie praca została uwieńczoną najzupełniejszym skutkiem, tak dalece że pochwalony przez swego nauczyciela, postanowił sam zostać nauczycielem. To uczynił natychmiast, zwołał młodych oficerów swego orszaku i kierując robotą przez nich wykonywaną, otrzymał równie doskonały obraz jak trzy pierwsze, i został mianowany mistrzem w sztuce fotografii. Tak był zadowolony z siebie w téj chwili, że chciałby mieć cały Egipt świadkiem swego powodzenia i wtedy przyszła mu myśl, która miała mieć dla niego najdziwniejsze skutki.

— Wróćmy do pałacu, rzekł żywo do artysty. Pozwolisz mi na godzinę twego instru-

mentu, i dołączysz kilka blach przygotowanych do przyjęcia wrażeń światła.

— Wasza Wysokość będzie zadowoloną, rzekł z dwornością H. V.

I nie mógł oprzeć się lekkiemu drzeniu, słysząc paszę wspominającego o swoich odaliskach.

— Jakto? zawołał ściskając bukiet, który jeszcze trzymał w ręku; Wasza Wysokość chcesz przedstawić operację dagerotypu odaliskom haremu?

— Tak, odpowiedział pasza z uśmiechem i dla tego tym razem proszę cię tylko o twój instrument i muszę samemu sobie zaufać!!

Jakkolwiek znał rozsądek Mehmeda, nasz artysta postrzegł jednak że jeszcze wschodnia zazdrość strzeże jego haremu, i nie bez okrutnych pokus, pomyślał sobie.

— Jaka piękna sposobność widzenia odaliski z różową szarfą, gdybym tylko mógł wejść z moim dagerotypem do haremu.

Ale naprożno przedstawiał paszy że jeszcze przed chwilą potrzebował rady jego i pomocy, naprożno zwracał jego uwagę, na jakie poniżenie

wystawiłby swoję miłość własną, gdyby mu się operacja nie udała, w obecności całego haremu, i nakoniec, że wiek i doświadczenie jego (malarza,) daje mu prawo być wyłączonym z ogólnéj reguły niedozwalającéj nikomu wstępu do haremu... Na wszystkie te dowody, bez wątpienia słusznie, pasza odpowiedział w półzłośliwém poruszeniem głowy i ponowieniem prośby o pożyczenie na godzinę dagerotypu i pięciu blach przygotowanych do operacji.

Artysta musiał zrzec się swoich nadziei, i dragerotyp bez niego udał się do haremu.

Niech sobie czytelnik wystawi teraz obraz godny dagerotypu, a pojmie smutek malarza.

Na niedostępnym szczycie haremu, na terasie wzniesionym z którego spadały białe róże, stary-pasza znajduje się sam z swemi odaliskami. W pośród tych świeżych twarzy i uśmiechających się ubiorów, same tylko słońce widzi przesuwającą się jego siwą brodę, jego *fez* haftowany złotem i kaftan futrem obszyty. Ostró-

żnie biorąc dagerotyp stawia go na wzniesieniu, a wszystkie kobiety porzucają swe dywany aby pójść podziwiać cuda sztuki. Mehmed bierze jednę z blach przysłanych przez malarza, stawia ją w ognisko soczewki i czeka kilka minut.... Wnet sądząc że już dzieło słońca spełniło się, wyjmuje blachę z ciemni optycznéj, poddając ją operacji która powinna zmienić ją w obraz, a wszystkie piękności haremu ciekawie nachylają się aby zobaczyć cud!

Ale o dziwo, cud nie zdziałany!... srebrzysta blacha nie straciła nic z swego blasku, i tylko twarz paszy przybrała barwę żywą szkarłatu.

—Zbyt się pospieszyłém, rzekł pasza z nieukontentowaniem.

I powtarza operację wolniéj, nie otrzymując jednak lepszego skutku.

—Co to ma znaczyć! woła pomięszany; musiałem i tym razem źle coś uczynić, zapewnie zapomniałem jakiego małego szczegółu.

Długo zbiera myśli w milczeniu, i zaczyna znowu z większą starannością i bacznością. Próżne starania, nie ma znowu cudu! nie ma przy czwartym i piątym razie. Mehmed rzuca się zncka-

ny na sofę, więcéj zmięszany jak mały kuglarz kiedy mu się nie uda sztuka z kubkami.

Wkrótce złośliwe szepty kobiet haremu zmieniają jego pomięszanie w gniew. Poskoczył ku niewinnemu narzędziu i nie wiele brakowało żeby je w kawałki potrzaskał. Obrócił je na wszystkie strony, obejrzał najstaranniéj i niemógł nic pojąć.

Ale jakże się z tego wydobyć? jakim sposobem znaleść odwet?—Nie ma innego środka, jak wezwać artystę do haremu.

Przed taką ostatecznością pasza wacha się długo, nakoniec miłość własna zwyciężyła nad zazdrością, posłano murzyna po artystę.

Pan H. V. przybywa z pośpiechem, łatwym do pojęcia, i piersza piękność którą między wszystkiemi postrzega, jest odaliska w różowéj szarfie, zachwycająca siedemnastoletnia dziewica!

Ale skądże to pochodzi że ona jest tak spokojna jak on wzruszony. Jestże to obojętność czy ostudzenie uczuć przez przyjrzenie się z bliska, jestże to udanie czy *qui pro quo*. Dziwna to tajemnica, którą malarz zdaje się pojmować, a którą i my wkrótce pojmiemy.

Równie zachwycony jak zdumiony, artysta zaś ledwie słucha słów paszy i dopiero po bacznem przejrzeniu haremu spogląda na bezsilny instrument.

—Na proroka! zawołał nakoniec z udanem podziwieniem, przebacz Wasza Wysokość memu roztargnieniu, zapomniałem powlec te blachy jodyną.

Wiadomo że ta część operacji musi być poprzednio dopełnioną. Pewnym będąc że H. V. wykonał ją, pasza nie mógł domyśléć się czego brakuje. Stąd to pochodziło tylokrotne chybienie skutku, którego jedyną przyczyną było umyślne zapomnienie malarza...

Mechmed Ali pojął zaraz ten podstęp, i chętnie przebaczył go, bo w nim znalazł uniewinnienie swoje.

— Zazdrość moja przebacza ci ze względu na moję próżność, szepnął z uśmiechem do ucha artysty, ponieważ równie jesteś zachwycony moim serajem jak ja twoim dagerotypem, możemy wejść po przyjacielsku w ugodę. Przynieś kilka blach pokrytych jodyną dla Mechme-

da Ali, a będziesz mógł do upodobania przypatrzyć się haremowi paszy Egiptu.

Nasz artysta nie dał sobie tego dwa razy powtorzyć, poszedł i wrócił w kilka minut. Tym razem artysta i vice-król, byli równie z siebie zadowoleni, bo w chwili gdy Mechmed zadziwiał swoje kobiety wypadkiem operacji, malarz oddał bukiet odalisce z różową szarfą...

Ale w chwili gdy pasza odwraca się w pośród pochwał że jego dzieło udało się, dla czego oko jego błyszczy podziwieniem i gniewem?... Dla czego malarz drzy i blednieje widząc go kładącego rękę na sztylecie?...

Bo Mechmed-Ali dostrzegł poruszenia malarza i odaliski, i poznał w jéj ręku bukiet ułożony w jego oczach!...

— Jestem zgubiony, rzekł do siebie H. V. mój romans skończy się na sposób wschodni...

Ale sądźcie o zadziwieniu i radości jego, kiedy ujrzał oko Mechmeda łagodzące się, a usta z groźnego ściśnienia przechodzące w przyjemny uśmiech.

— Przed stu laty, głowa twoja jużby była spadła! rzekł vice-król, ale ja nie jesztem taki jak ówcześni paszowie, dla tego przebaczam téj dziewczynie, i tobie także, a ponieważ podobała ci się, więc ci ją daruję.

— Przyjmuję ją; zawołał zachwycony malarz, pod warunkiem że będę mógł rozrządzić jéj losem podług mojéj woli.

U nas w Egipcie to się samo z siebie rozumie, odrzekł Mechmed, należy ona teraz do ciebie tak jak twój dagerotyp.

— Dzięki ci szlachetny paszo, zawołał artysta, tobie winienem że teraz mogę uszczęśliwić dwoje ludzi w twoim pałacu.

I prowadząc piękną odaliskę przestraszoną tem czego pojąć nie mogła, H. V. poprowadził ją do oficera mameluków, który tak dobrze wytłomaczył znaczenie miłosnego bukietu, i rzucając ją w jego objęcia, pierwéj nim oboje mogli wyjść z podziwienia, rzekł:

— Ona jest twoją! — i wielki artysta powrócił do prac swoich.

Oto jest wytłómaczenie prostego *qui pro quo* którego klucz znalazł malarz jadąc do portu. Pomięszanie młodego oficera kiedy przyjechali

pod terasami haremu, odkryły mu przeznaczenie kwiatów emblematycznych. Podobieństwo wzrostu między nim i tym młodym oficerem i ta sama barwa ich płaszczy, wytłómaczyła resztę, a przekonawszy się o szlachetnym charakterze Egipcjanina, malarz francuzki usłużył mu jak widzieliśmy w jego miłości.

KOZAK.

(z pieśni gminnéj)

—◡ | —◡ | —◡ | ◡—

Héj, héj! koniu białonogi,
Dość już w stajni siana gryść,
Choć nie dawnoś wrócił z drogi,
W nową drogę trzeba iść.
Słyszysz wicher po wertepach,
Widzisz chmury co się wleką,

Jak ten wicher po tych stepach,
Musiem lecić ztąd daleko,
O daleko! sto mil drogi,
W zimnym kraju, chmurném niebie,
Mój latawcze białonogi,
Masz ty siły? pewnyś siebie?
— O mój panie, ty kozacze,
Jeszcze siły we mnie tyle,
Jeszcze serce tak kołacze,
Żebym przebiegł drugie tyle!
O mój panie, mój kozacze,
Wszak my w trudach nie starzejem,
Młoda dusza w nas kołacze;
Młodą krwią żyliska grzejem.
Siądź, polećiem, dom rzuciemy,
Przez usłane trupów kupy,
Sięgniem, porwiem drogie łupy,
W miesiąc zdrowo powróciemy.

—,,Nie, nie koniu biało-nogi,
Dość krwi piłem, bądź spokojny,
Idziem w puszcze nie na wojny.
Niech w pokoju Turków pasza,

Łeb w kaszmirski szal ustroi,
Wprawia perły do pałasza,
Dyamenty do zawoi;
Niech swobodnie złote karki,
Kładą koniom swym Janczary,
Nie upadną na ich barki,
Nasze spisy ni handżary,
Kiedyś—kiedyś łby się stoczą.
Głazy czarną krwią obroczą,
Spadną kity i turbany,
I zamarłe bisurmany,
Wtedy złoto ostrą szablą,
Pozgartamy jakby grablą,
I spokojnie i bez trwogi,
Powrociemy za porogi,
Ale dzisiaj, mój ty koniu,
Inna droga, inne cele,
Na północno wschodniem błoniu,
Poleciemy rwać trojziele,
Bo tu Hanka ma umiera,
A choć leków różnych wiela,
Jedno zdrowie jéj zawiera,
Jedno tylko, liść trójziela.
Héj!.co, koniu, poleciemy?

Héj! czy z zielem powrócimy?
Droga długa i opasna,
Lecz nagroda dziewa krasna,
Z czarném okiem, kruczym włosem.
Białą piersią, ciężkim trzosem,
Héj! co, koniu, polecimy?
Héj! czy z zielem powrócimy?

— Siadaj panie, każesz, lecę!
I zamilknął; kozak skoczył,
Burką cały się zamroczył;
Tylko oczy mu jak świece,
Z pod kołpaka migotały,
Kiedy pędził lotem strzały.

* *
*

—vv | —vv | —vv | | vv

Lecą i lecą a ciągle kraina,
Mknie z pod kopyta dziarskiego rumaka,

Parów za niemi, za niemi dolina,
Góry zlatują z przed oczu kozaka,
Szybko jak wicher przelata czachary,
Z gór na doliny i z dolin na góry,
Piaski rozmiata i łamie konary,
Albo przez mgliste przedziera się chmury,
Drogą wiadomą, i potem znów leci,
Pod szmaciskami zamarzłych obłoków,
I po obszarze co nie znał zakwieci,
Nad korytami stojących potoków.
A gdzie bądź lecą, tam wszędzie natura
Zmarzła jak jedna wydaje się chmura,
W któréj nie ujrzysz zwierzęcia ni człeka,
Chyba gdzie niegdzie kruczysko zakraknie.
Albo czasami z drożyny ucieka,
Sęp co zdobyczy i żeru łaknie,
Czasem gdy jadą przez lasy jodłowe,
Z kniéj niedźwiedzica wypadła na łowy,
Leci i ciska w nich głazy lodowe.
Kozak przychyla do konia swéj głowy,
Sobku uciekaj — ze strachem mu rzecze,
Warkną kopyta i Sobko uciecze.

I tak i jeździec i rumak trzy nocy,

Trzy dni już pędzą bez chwili wytchnienia,
Biorąc się zawsze ku wschodu północy.
Przed ich oczami widokrąg się zmienia.
Dawniéj gdzie niegdzie choiny widzieli,
Niskie, karlaste jak chwasty mizerne,
Teraz się tylko do koła śnieg bieli,
W koło śniegowe pustynie niezmierne,
Dawniéj gdzie niegdzie i kruki krakały,
Teraz wichrzysko gwałtownie sam huczy,
Bijąc piersiami o ostry skraj skały,
Albo ściskany od prących dwóch tuczy.
Niebo chmurawe co nie zna piorunu,
Burym się płaszczam rozwija nad niemi;
Jak nad umarłym opona z całunu,
Tak te niebiosa się włóczą po ziemi,
Sobko i kozak nie widzą w nich słońca,
Dzień jak jutrzenka styczniowa się szarzy;
—Panie wszak sroga kraina Czuchońca?
Rzekł koń kozaczéj wpatrując się twarzy.
Ale ten milczał; strętwiały, skulony,
W myśli się krajem rodzinnym otoczył,
Jego okrasę i dzikość téj strony,
W jednym obrazie w umyśle jednoczył.

Widział już kościół, rodzinę kochanki,
Druhów weselnych i dróżek półkrąże,
Widział błyszczące u boków ich wianki,
Widział i księdza co stułą go zwiąże,
A gdy się ocknął wrzekomo zapyta:
—Koniu mój, koniu! daleko trójziele?
—Blisko, o blisko, pod lodem rozkwita,
Lecz nie na twoje kozacze wesele.
Ledwoś wyjechał za wrota, już płocha
Hanna mówiła że ciebie nie kocha.—
—Koniu! ty kłamiesz—ty kłamiesz za śmiele,
Pytam cię tylko, daleko trójziele?
—Blisko już blisko, nim zorze zagaśnie,
W czarnym trójwęgle tatarskiéj komnaty,
Ujrzysz zielone liściska i kwiaty,
Ale powiadam ci zrywać opaśnie.—
—Pędź więc, pędź prędzéj.—I znowu koń sko-
czył,
Snieg się rozpryska z pod stalnéj podkowy,
Kozak się burką po oczy zamroczył,
Tentent rozbiegły zapełnia parowy.

*
* *

v— | v— | v— | v— | v

Nad drogą krzyż sczerniały stoi,
Około krzyża trzy drzewiny;
Z daleka rycerz w stalnéj zbroi
Na koniu pędzi przez równiny.
Z nim zgrają zbrojni jezdce lecą,
U siodła brzęczą karabale,
U boków im bukiety świecą,
To młody jedzie na wesele.

W kościele świece zapalone,
I pop w świątecznych stoi szatach,
Diak trzyma wodę poświęconę,
A cały ołtarz, kościół, w kwiatach.
Przed popem święte leżą księgi;
Klęknęli młodzi kochankowie
I rotę wiary i przysięgi!
Czytają głośno z nich po słowie.
I klęczą jeszcze, i pop czyta,
Gdy drzwi na poły się rozwarły.

—Czyj ślub?—zdyszały kozak pyta;
A straszne bole snać go darły,
Bo gdy tak pytał i zrenice
Po cerkwi wodził do okoła,
Jak w gradną chmurę błyskawice,
Leciały zmarszczki mu do czoła.

I spostrzegł młodą u ołtarza
Obaczył wieniec w włosach Hanki,
Z sukienki białéj, łzy na twarzy,
Wyczytał swojéj ślub kochanki.
Wyczytał—ból mu serce ścisnął
Rozszarpał duszę cios tak srogi,
Za handżar porwał, handżar błysnął,
I młodym upadł trup pod nogi.
A Hanka zimno tak patrzała,
Jak gdyby nigdy go nie znała.

* * *

v—v | v—v | v—v | v—v

Na polu za borem krzyżują się drogi,
Do sioła, do lasu, na prawo i lewo,
A w środku płaczące podnosi się drzewo,
I w kurhan zielony zapuszcza rozłogi.

Po ciemnym kurhanie igrają w dzień dzieci,
Wieczorem zaś puszczyk przylata do drzewa
I zanim poranne słoneczko zaświeci,
Żałosną piosenkę nad grobem tak śpiewa.

—vv | —vv | —v

Biedny, kozacze przedwcześnie
Zmarłeś i któż cię utuli,
Kto ukołysze cię we śnie,
W zimno do piersi przytuli.

Ani siostrzyczka po lesie,
Przyjdzie ustroić cię w kwiatki,
Ani zazula przyniesie,
Nowych ci wieści od matki.

Trzeba ci było na świecie,
Nie czuć jak inni, kozacze,
Nigdy nie wierzyć kobiecie,
Smiać się choć z boku kto płacze.

Żyćbyś mógł długo tak długo,
Płaczki wynająć do truny,
Grób zlać kupionych łez strugą,
W złote się ubrać całuny.

Lecz ty umarłeś przedwcześnie,
Nie masz przyjaciół kochanki,
Ja ci przynosze me pieśnie
Trawa uwija ci wianki.

Spij, spij spokojnie kozacze,
Kiedyś nie kupił łez sobie,
Nikt cię tu nikt nie zapłacze
Modłów nie zmówi na grobie.

Bożywój Korab.

DZIEŃ BEZ JUTRA.

— — Słuchaj, rzekła po chwili namysłu, opowiem ci historję z mojego życia, któréj nikt nie słyszał, i któréj tajemnica zagrzebana była jak skarb w mojem łonie. Chcę dla ciebie odkryć jedyne wspomnienie mojéj młodości, które pozostało czystem w mojem starem ser-

cu, jedyną miłość która towarzyszyć mi będzie aż do grobu, zawsze równie ognista; pierszy raz wymówię imie którego nie wymówiłam przez trzydzieści lat przeszło, chyba śród ciszy nocy i śród samotności dni moich. Zbliż się więc, pójdź czytać w tym zakątku mojéj duszy, gdzie jeszcze nie wcisnęło się żadne ludzkie oko, wéjdź z uszanowaniem do tego skarbcu, w którym święty ogień płonie jeszcze.

Usiadłem przy niéj na kanapie, babka moja otworzyła tabakierkę platynową, naładowała nos szczyptą tabaki hiszpańskiéj, i nasyciwszy się jéj narkotyczną wonią, tak zaczęła mówić, kładąc na powrót tabakierkę w kieszeń.

W owym czasie, nie zażywałam jeszcze tabaki, byłam młodą, chwalono moję piękność, a nawet dowcip i oryginalność, mój charakter bowiem był ognisty, dusza pełna zapału i siły. Miałam dwadzieścia lat, majątek, męża który mię ubóstwiał, wiernych domowników, którzy byli przy mnie od urodzenia, przyjaciół szczerych i przyjemnych, wesołe towarzy-

stwo, ulegające wszystkim moim kaprysom; moje trzody pasły się na obfitych łąkach, moje winnice zakrywały obszerne przestrzenie; dwa kare konie pryskały ogień uderzając o bruk sąsiedniego miasta, kiedy przejeżdżałam w mojéj pięknéj angielskiéj karecie. Któżby powątpiewał o mojem szczęściu? Ja tylko jedna nie wierzyłam w nie; doznawałam tych czczych nudów, których zaród wszyscy otrzymujem rodząc się... gniewałam się tajemnie na moje prozaiczne istnienie; chciałabym zakłucić to jezioro, którego spiące wody odbijały ciągle te same obrazy. Moi przyjaciele nadto mię kochali, moje pola i łąki były nadto urodzajne, miłość mego męża zdawała mi się być nadto spokojną; mój mąż sam wydawał mi się niekiedy pod bardzo posępną i pospolitą postacią. Ten człowiek, prowadził moje interesa w sposób zwiększający co rok mój majątek, zajmował się ciągle obliczaniem przychodów i wydatków. Potrzebowałam ruchu, nie wiedziałam gdzie rzucić zapał który mię pożerał, spokojność oburzała mię, pragnęłam burzy. Byłam szaloną! Ale takie jest życie. Wszyscy wychodziemy

z jednego punktu, aby dojść do jednego celu.

W takiém byłam usposobieniu, kiedy pewnego dnia otrzymałam zaproszenie od pani B*** żebym przybyła zpędzić jeden dzień w zamku de la Chenette. Pani B*** (nie znałeś jéj, bo umarła kiedy jeszcze tu nie byłeś), przez długi czas trzymała berło śmieszności, w okolicy, w któréj nigdy nie zbywało na śmieszności. Była to kobieta nizkiego urodzenia, śmiesznych, albo raczéj żadnych zasad, ale dumna i chciwa hołdów. Zamek de la Chenette był nędznem zwaliskiem małego domku.

Jednakże przyjęłam jéj zaproszenie. Ona, nienawidziła mnie, a jednak pragnęła mię mieć u siebie, przez dumę, a ja, lubiłam uważać walkę jaką zawsze sprowadzał w niéj mój widok, walkę między nienawiścią i próżnością. Męża mego nie było w domu. Wyjechałam konno, w poranek jesienny, w towarzystwie jednego tylko służącego, który jechał w pewnéj odległości za mną. Straciłam przynajmniéj cztery godziny na przebycie odległości którą mogłabym ubiedz w dwóch godzinach, byłam

smutna, zamyślona, przewidywałam jakiś nadzwyczajny wypadek w mojem życiu.

Syn pani B*** czekał mnie na przykrytéj alei prowadzącéj do Chenette.

— Zbierz pani całą twoję odwagę, rzekł do mnie, matka moja zgromadziła dziś u siebie wszystko co jest najdoskonalszego w okolicy.

— Do licha, rzekłam skacząc z konia na ziemię to będą śmiertelne nudy.

— Bezwątpienia, ale jest nas tu kilka osób które postanowiły bawić się, choćby przyszło głupstwo zrobić; trzymasz pani z nami.

— Zawsze! zawołałam z radością, tak była mi przyjemnie uciec przed tysiącami myśli które mię uciskały.

Rzuciłam moję mantylkę na siodło i opuściłam lejce koniowi który szedł za nami, skubiąc swieże gałązki bukszpanu; wzięłam rękę mego towarzysza i przybyliśmy razem do zamku. Dziedzieniec był przepełoiony kolasami, wasągami i bryczkami wypłatanemi sitowiem, mływarczyki i fornale poubierani byli w liberje zna-

komitych rodzin; był to obraz do malowania. Skoro mię tylko zobaczyła pani B. postąpiła ku mnie szybko i uściskała mię z uniesieniem; gdyby mi mogła karku nakręcić, ręczę ci że byłaby to uczyniła.

—Ach, moja droga, jakżem szczęśliwa żeś przyszła, czekałem cię, drżałam że nie przyjdziesz może, jesteś tak rzadkim gościem! Czemże potrafię zawdzięczyć ci!,...

—To bardzo łatwo, odpowiedziałam; każ mi pani dać szklankę wody, umieram z pragnienia.

Wody? to niepodobna! napijesz się limonady, moja kochanko!

—Nie, proszę o czystą wodę.

—Z cukrem?

—Nie, zupełnie czystą.

—Ależ moje serce, to niepodobna! mamy jabłecznik, piwo, albo poślę do miasta po syrop malinowy.

Usłyszałam o dwa kroki od tego miejsca, szelest źródełka; aby zakończyć tę walkę jabłeczniku limonady i syropu, a najbardziéj aby zakończyć moje pragnienie, pobiegłam ku stro-

nie z któréj pochodził ten srebrzysty szmer, i znalazłam źródło czystéj wody, które pod krzaczkiem bzu wydrążyło sobie łoże otoczone drobnemi kwiatkami. Uklękłam na brzegu i napiłam się wody zimnéj i aromatycznéj wonią mięty która rosła w około. Na nieszczęście nosiłam wtedy długie włosy spadające w puklach na szyję i ramiona; powstawszy odrzuciłam szybkiém poruszeniem głowy te włosy, które także napoiły się wodą źródła i skropiłam zimną rosą twarze piętnastu lub dwudziestu niezgrabnych elegantów zgromadzonych za mną, a których nie postrzegłam. Nie wystawisz sobie moje dziecię, skutku jaki sprawiła ta mimowolna niegrzeczność: Zgubioną byłam na całą resztę dnia w opinji *towarzystwa*, osądzono że jestem *du mauvais genre*, a zastępca pisarza przy pełniącym obowiązki komornika, porównał mię z Djogensem który ręką czerpał wodę. Już byłam przygotowaną schudnąć z nudów, gdy wtem postrzegłam kilku znajomych, o których mi mówił syn pani B***; byli

to prawie wszyscy moi towarzysze lat dziecinnych, ludzie weseli, prości i dobrzy. Uorganizowaliśmy bandę osobną, któréj ja byłam bohaterką. Postanowiono że wszyscy odprowadzą mię konno do mego mieszkania, i że udamy się drogą przez miasto. Posłałam więc słażącego aby mię oczekiwał w oberży *pod czarną głową* i przygotowywałam się otrząsnąć z nudów które mi z początku groziły.

Po śniadaniu byliśmy zgromadzeni w kilku grupach na dziedzieńcu, wtem postrzegliśmy zbliżającego się wolnym krokiem ogromnego konia młynarskiego, ubielonego jeszcze mąką którą dzwigał od dziesięciu lat rano i wieczór, na którym siedział młody blondynek, blady i szczupły. Koń zatrzymał się ciężko wpośród nas. Głośne wybuchy śmiechu przywitały to dziecię, które patrzyło na nas z miną naiwną i zakłopotaną.

— To Adolf! zawołano ze wszech stron.

— Cóż to za Adolf, zapytałam mego sąsiada,

W téj chwili pani B*** odprowadziła mię na bok i rzekła:

— To jest mały Adolf, ale bardzo dowcipny chłopiec.

— To niezgrabne zalecenie, ujęło mię dla młodego Adolfa. Dowiedziałam się że jest synem rodziny poczciwéj, miernego majątku, która niedawno w téj okolicy osiadła. Młodzież z miasta St. Florent lubiła go, a syn pani B*** zaprosił go aby przybył na zabawę urządzoną przez jego matkę, z warunkiem żeby wierzchem przyjechał. Wierzchowiec Adolfa był ciężki i potrzebował pięciu godzin na odbycie półtoréj mili drogi. Uważałam tego młodzieńca; mógł mieć lat dwadzieścia najwięcéj, był milczący, dumny i lękliwy; postrzegłam w nim ułożenie wykwintne, które mię uderzyło. Im więcéj patrzyłam nań, tém więcéj postrzegałam, że w nim nie ma nic wspólnego z rubasznemi nałogami reszty młodzieży w tém towarzystwie. Nie znałam dotychczas nikogo podobnego jemu a jednak widok jego odpowiadał niejako jakiemuś obrazowi przyjemnemu i poetycznemu, który widywałam we wszystkich moich snach, i ku któremu dusza moja swój lot kierowała. Chwalono mi jego dowcip, a ja nie wiem dla

czego nie chciałam go doświadczać. Dziwna rzecz przez cały dzień nie mówiliśmy z sobą ani słowa, dwa razy tylko spojrzenia nasze spotkały się; a jednak pojmowałam już jakby wpół jasno, że moje przeznaczenie zmieniło się, i że ta istota, którą tu po pierszy raz spotkałam, wyryje niezatarte wspomnienie w mojem życiu. Reszta dnia upłynęła z niepojętą szybkością: głos Adolfa wpływał w serce moje jakby roskoszna harmonja, którą dotąd słyszałam tylw snach smutnych nocy, jego obecność była dla mnie zajęciem wszystkich chwil, które mię czarowało mimo méj wiedzy; była około niego jakaś cudowna atmosfera, w któréj zanurzałam się z uniesieniem szału. Nie wyznawałam sobie żadnego z tych uczuć których tak długo pielęgnowałam zaród i które w téj chwili wybuchły tak nagle; nie przewidywałam nic, nie mogłam obliczyć następstwa, tylko czułam się szczęśliwą; pierś moja oddychała radością, życie zdawało mi się być lżejszem i z zachwyceniem słuchałam tajemniczego głosu który swieżo powstały śpiewał w mojéj duszy.

Nie pragnęłam dowiedzieć się czy kiedykolwiek zobaczę znowu Adolfa, nie myślałam wcale o tém, żyłam zupełnie w uczuciu teraźniejszości nie dbając wcale o przyszłość, nie pytając się czy to kilkogodzinne zjawisko będzie mieć jutro. Dni miłości i młodości, dni miękkiego rozstrojenia i radosnéj nieprzezorności, wy które nazywamy czasem szaleństwa, a które może byłyście epoką mądrości, gdzieżeście upłynęły.

Wieczór szybko nadszedł. O godzinie 8 wszyscy byliśmy na koniu. Pani B*** uczyniła mi uwagę, że obraziłabym przyzwoitość mięszając się tak z towarzystwem nie właściwem dla mnie. Pani B*** miała słuszność w mniemaniu świata, ale ja mało dbałam o świat, i tyle miałam zaufania w prawości moich zamiarów, że zawsze bez obawy ustępowałam moim kaprysom. Prócz tego to towarzystwo szanowało mię jak siostrę i widziałam wszędzię moję płochość otoczoną większem uszanowaniem niżbym mogła otrzymać go przez najbardziéj wyrachowaną powagę. Odpo-

wiedziałem więc pani B... uderzając mego rumaka szpicrutą, i dając hasło do wyruszenia. Wszyscy jezdcy puścili się za mną i zniknęliśmy wkrótce śród tumanu kurzu. Pędziliśmy jak trzoda szalona przez pola i wioski, kamienie ścieszek sypały iskry z pod nóg naszych koni, psy wiejskie scigały za nami szczekając, a wieśniacy na progach chat swoich spoglądali na nas z trwogą.

Długo trzymałem się na czele kawalkaty. Ucisniona szybkością biegu czując że mój *alezan* podbudzony odgłosem galopu odżywającego się za nim, co chwila nowéj nabiera siły, i lęoając się że wkrótce może nie zdołałabym już wstrzymać zapału który go unosi, postanowiłam zjechać z drogi skrycie przed memi towarzyszami i puściłam się ścieszką wydeptaną środkiem pól. Noc była dość ciemna, nikt nie postrzegł że mnie nie ma, i za kilka chwil usłyszałam już tylko zmieszany szum który wkrótce znikł zupełnie.

Nie wiem dla czego znajdując się sama w pośród obszernych niw, doznałam uczucia nieopisanéj radości. Zatrwożona tem szczęściem

bez granic tak nagle powstałem, zapytywałam się sama siebie z trwogą, badałam co się odmieniło w mojem życiu, dla czego wyjechałam zrana smutna i zamyślona, a teraz jestem wzruszona tak radośnie, jakiż wietrzyk rozproszył chmury mego nieba, jakież światło ożywiło jego błękit? Lękałam się odkryć w mej duszy winę, starałam się pochamować rzuty mej szczęśliwości, wygnać z mego serca nie wiem jaki obraz, który mię bez ustania oblegał. Zdawało mi się nawet żę nowe zdolności rozwijały się we mnie, pojęcia moje były szybsze i czystsze, zmysły moje delikatniejsze i subtelniejsze; wpośród milczenia nocy, słyszałam harmonję która pierszy raz przemówiła do mnie, patrząc na gwiazdziste niebo i spiące pole, postrzegałam widoki których cudowności i poezji nie domyślałam się dotychczas. Koń mój postępował zupełnie podług swojéj woli, skubiąc trawę i zbożę przy scieszce, puściwszy mu lejce, patrzyłam na księżyc wznoszący się nad ziemią z pośrodka żelaznych pieców w Saint Florent, jaby rozpalony krąg metalu wyrzucony z ich czeluści. Słuchałem zarazem tysiąca-

nych brzmień mięszających się z sobą. Owady brzęczały w trawie, żaby skrzeczały w bagnach, dzikie owoce obrywające się od drzew upadały w około mnie z głuchym odgłosem, a w oddaleniu odzywały się uderzenia kijanek pracowitych gospodyń które prały chusty przy świetle księżyca. Wtem dołączył się do tego odgłos którego nie mogłam rozpoznać. Mój alezan poznał go, zatrzymał się i podniósł uszy. Był to powolny stęp ciężkiego konia, który postępował tą samą drogą, zapewnie udając się do miasta. Wkrótce te kroki zbliżyły się, ujrzałem jakby promienie księżyca, występującego w pośrodku cieni mego miluchnego blondyna Adolfa, schylonego melancholicznie na swoim spokojnym koniu.

Gdy Adolf był już obok mnie, nasze konie zaczęły zgodnie kosić trawę i strzydz drobne gałązki. Adolf i ja spojrzeliśmy na siebie. Ja wymówiłam kilka słów, Adolf nie sprobował ani słowa. Nie wiedziałam co czynić, kasłałam, dobywałam chustkę, skracałam i puszczałam lejce. Nakoniec uspokoiłam się myśląc że Adolf jest równie zmieszany jak ja, i postanowi-

łam wydobyć nas oboje z tego trudnego położenia.

— Panie, rzekłam nadając ile mogłam pewności głosowi memu, sądziłam że pan jesteś w towarzystwie naszych przyjaciół.

Adolf odpowiedział mi wskazując tylko na ciężkie zwierzę które postępowało obok mego.

— Nikt z nas niepomyślał o tém, bylibyśmy bowiem stosowali nasz bieg do sił pańskiego wierzchowca.

Adolf skłonił się lekko, i odpowiedział smutnym uśmiechem.

Pozbawiona odwagi przez jego milczące odpowiedzi, podniosłam lejce mego konia, Adolf to samo uczynił i zaczęliśmy jechać obok siebie nie mówiąc ani słowa i nie spojrzawszy nawet na siebie. Zdaje mi się moje dziecię że w ten sposób byłabym zajechała, aż na ostatni kraniec swiata. Zdawało mi się, że słyszę jak serce Adolfa przemawiało do mnie z cicha i, dziękowałam w duszy temu młodzieńcowi, że

nie zakłóca czczemi grzecznościami nieméj rozmowy dusz naszych. Już kilka chwil postępowaliśmy w ten sposób, i już zadrżałam postrzegłszy przez wierzchołki drzew szczyt wieży kościoła w St. Florent, w tém Adolf zwróciwszy ku mnie swoje jasne oczy, patrzył na mnie przez niejaki czas z czułością niewymowną.

— Pani, rzekł nakoniec, głosem który na mnie sprawił wrażenie wstrząśnienia elektrycznego, znam panią od dwóch lat; dwa lata tamu, prawie w téj saméj porze, widziałem cię po raz pierwszy.

A gdym nań patrzała z podziwieniem.

— Przebywałaś pani, rzekł, góry mego rodzinnego kraju, brat czy mąż pani towarzyszył jéj. Czy nie pamiętasz pani brzegów de la Madeleine? rumak pani znużony trudem nie chciał wstąpić na spadzistą górę, rzeka groźnie huczała u nóg twoich, gory wznosiły nad twoją głową swoje łyse wierzchołki, noc zapadła, a pani szukałaś z niespokojnością mniéj spadzistéj drogi.

— Oh, pamiętam to wszystko! rzekłam.

— Ale zapomniałaś pani, mówił daléj Adolf z wyrazem smutku, o młodym człowieku który uchwyciwszy wędzidło twego konia był tak szczęśliwym że cię bezpiecznie wyprowadził na płaską drogę.

— Nie zapomniałam o nim, rzekłam znowu...

— Dwa lata zaledwie upłynęły, a jednak już go pani nie poznajesz..

Spuściłam oczy zakłopotana, i nic nie odpowiedziałam. Prawda że rysy tego dziecięcia które widziałam w górach śród zmierzchu, zatarły się w mojéj pamięci, ale gdybym była śmiała, powiedziałabym mu: O Adolfie! ty mię znasz tylko od dwóch lat, a ja znam cię od czasu jak żyję, i kocham cię!

Nie miałam siły wymówienia kilku słów wdzięczności, ale jak radośnie drżało moje serce myśląc że byłam przedmiotem cichych myśli tego młodzieńca, jak byłam szczęśliwą że go mogłam w sercu nazywać moim wybawcą, jak przesadnie wystawiałam sobie niebezpieczeń-

stwo na jakie byłam narażoną w górach Creu.zy! widziałam się uwieszoną między pieniącemi się wałami i groźnemi opokami, ziemia usuwała się pode mną i już miałam paść w otchłań, kiedy z obłoków zstąpił anioł i uniósł mię na swoich skrzydłach. O moje dziecię, nie pojmujesz jak poetyczną jest pamięć kiedy jéj dopomaga miłość! Ten wypadek który dniem pierwéj zdawał mi się prostém, pospolitém zdarzeniem, w téj chwili przystrojony był nadzwyczajną uroczystością i zawołałam w moim niemym zapale. O ty któremu raz już winnam moje istnienie, dopełnij twego dzieła, udziel mi jeszcze życie duszy, to życie, bez którego istnienie nasze każe nam żałować nicestwa!

Nie wiedziałam co się działo w duszy Adolfa ale zdawało mi się że jest miotany takiem samem pomięszaniem jak ja...

Po niejakim czasie milczenia odważyłam się zadać mu pytanie względem miejsca jego urodzenia. Mówił mi o niém z uniesieniem, każde jego słowo dobywało z mego serca źródła poezji

które do tego dnia były uspione. Mówił mi o wspomnieniach swojéj młodości, która upłynęła swobodnie, dziko, w pośród lubych gór. Mówił mi o swojéj rodzinie, która nim tylko żyłą i któréj kiedyś miał być podporą, objawiał mi rozmaite swoje widoki i zamiary na przyszłość. Potém nie wiem przez jakie przejście zaczął mi przedstawiać tysiączne smutki swojéj duszy, ta historja była zupełnie podobną do mojéj. Zatrzymywałam go ilekroć znalazłam żywe podobieństwo między naszemi naturami, i znalazłszy jeden jeszcze węzeł między nami, nową sympatję, prowadziliśmy daléj naszą pielgrzymkę, dozwalając duszy naszéj tonąć w téj przepaści szczęścia i miłości.

— Ah nie mów mi że byłam szaloną, nie mów że miłość nie powstaje tak z jednego słowa, z jednego spojrzenia, że prawdziwe uczucia długo rozwijają się; nie mów mi żem się łudziła, nie susz jedynego kwiatu mego życia który zachowałam aż w tak późną starość. Tak, kochałam, byłam szczęśliwą! ujrzałam nakoniec brzeg téj ziemi czarownéj którą

tyle razy z daleka przeczuwałam w snach moich; nakoniec moje ułudy zmieniały się w rzeczywistość, spotkałam nakoniec istotę która dała życie widziadłom snów moich. Nie dziw się że tak prędko dusza moja rozgorzała, pomnij że dotąd nie spotkałam nikogo ktoby umiał pojąć szczęście za granicą orania i prasy winnéj.

Dotychczas jeszcze nie mogę sobie wytłómaczyć głębokiego zapomnienia o wszystkiem, w którem upłynęły mi te godziny tak szybkie i piękne. Między mną i Adolfem zaszła jakby niema umowa, nie wspomnienia o obowiązkach jakie mię wiązały do innéj istoty i szliśmy jak dwoje dzieci natury zbiegłych z pod praw społeczeństwa, nie pomnąc że doszedłszy do rogatki miasta będziemy musieli znowu uledz tym prawom. Czyliż my wtedy pamiętaliśmy że są na świecie miasta, i inne istoty prócz nas, albo inne prawa prócz tych które nas ku sobie pociągały.

Wyraz miłość nie był ani raz wymówiony między nami, kochaliśmy się nie mówiąc tego, może nawet nie wyznając tego przed sobą samemi, ale i nie pytając się czy jest większa

szczęśliwość, bardziéj upajająca radość, jak to braterstwo uczuć i skłonności, które zaledwie parę godzin trwało, i które niestety nie miało mieć jutra; a jednak my obiecywaliśmy temu uczuciu tak długą i spokojną przyszłość! przędliśmy mu zawczasu tak piękne i pogodne dnie. Każdy tydzień miał nam dać się spotkać albo w mieście albo u sąsiadów. Cóż mogło nam przeszkodzić widywać się częściéj jeszcze. Adolf mówił mi o różnych książkach o których istnieniu nie słyszałam nigdy, i które mieliśmy czytać razem w cieniu moich gaików; tworzyliśmy tysiączne projekta zabawy i nauki, wznosiliśmy sobie z przyjemnością budynek nieskończonego szczęścia i dziwiliśmy się oboje że mogliśmy tak długo żyć bez siebie, i błogosławiliśmy przeznaczenie że nas nakoniec zbliżyło do siebie.

Tymczasem konie nasze szły coraz daléj i chociaż stęp ich potrzebował na milę przynajmniéj trzy godzin, Adolf jednak zaczął już uważać że miasto zdaje się coraz oddalać od nas, a wtem konie zatrzymały się nagle. Rzeka toczyła u stóp naszych wały swoje posrebrzo-

ne promieniami księżyca, i znaleźliśmy się na scieszce którą zapewne bydło schodziło dla napoenia się. Trzeba nam było zawrócić się, staraliśmy się rozpatrzeć nasze położenie, ale nadróżno. Puściliśmy się więc najpierwszą drogą kierując się jednak za biegiem rzeki która nas musiała doprowadzić do miasta. Po kwadransie drogi przybyliśmy do lasku. Nogi naszych koni coraz plątały się między gałązkami cierni i nakoniec nie chciały iść daléj. Cóż tu czynić? Ja byłabym chciała nigdy nie znaleść drogi, i wyznam, że prawie miałam tę nadzieję. Przez chwilę sądziłam że zabłąkaliśmy się w pustym bez granic kraju, serce moje biło skrytą radością gdym pomyślała że może kilka dni będziemy musieli błądzić, Adolf dopomagał memu szałowi, powtarzaliśmy sobie marzenia dziecinne, wystawialiśmy sobie dziką wyspę, Adolf bronił mię przeciw okrutnym jéj mieszkańcom. Wtem wiatr przyniósł nam odgłos północy z wieży kościoła w St Florent, i wrocił nas do smutnéj rzeczywistoćci. Adolf skoczył na ziemię i z narażeniem się na pokaleczenie nóg o ostre ciernie, ująwszy oba konie

za uzdy silną ręką, prowadził ich ku stronie z któréj dzwon się odezwał. Nie długo wyszliśmy z naszéj dzikiéj wyspy, ale jeszcze nie mogliśmy poznać drogi. Wzrok nasz szukał w oddaleniu jakiéj ścieszki ubielonéj światłem księżyca, ale morze niw i łąk otaczało nas ze wszech stron. Wiedzieliśmy że miasto jest bliskie, ale nie mogliśmy znaleść drogi do niego. Zatrzymaliśmy się przed jakimś płotem, Adolf oparł się o siodło mego konia i tak staliśmy niejaki czas w milczeniu zamyślonem. Mniemałby kto że myślemy o powrocie do miasta, ale nasze myśli były zupełnie inne, a może nawet nie myśleliśmy wcale. Tak pozostaliśmy przez niejaki czas, i nie wiem zupełnie jakim sposobem ręka moja znalazła się w ręku Adolfa, on uścisnął ją lekko i podniósł do ust swoich. Przyznać ci się muszę moje dziécię, że miłość nie dała mi uczuć żywszéj rozkoszy jak to pocałowanie, wyciśnięte na mojéj ręce drżącemi usty, i milczenie jakie nastąpiło po tém czystém pocałowaniu. Oh jakże czułam się szczęśliwą że jestem kochaną

miłością tak trwożną i delikatną. Lekko dobyłam rękę moję z dłoni Adolfa i oparłam ją na jego czole, tem czole białem i czystem, którego nie dotknęły jeszcze moje usta. Adolf zwrócił na mnie swoje oczy wilgotne i płonące, i nasze spojrzenia spotykały się ostatni raz na ziemi.

Prawie w téj chwili zajaśniało światełko po za drzewami, i wokoło nas dało się słyszeć mocne szczekanie, psy zbliżyły się mrucząc, ale wkrótce zaczęły skakać przed nami przymilając się; widocznie więc znajdowaliśmy się w miejscu znajomém. Puściliśmy się szybko ku chatce z któréj ukazywało się światło, i zapukałam w jéj drzwi rękojescią mojéj szpicruty. Drzwi się otworzyły, byliśmy w Saint Brice.

Weszłam do chatki a za mną Adolf. Biedna staruszka, która widziała moje urodzenie i dziecinne lata, leżała konająca na łóżku. Usiadłam w nogach jéj posłania. Zaledwie mię poznała. Jéj ręce były już zimne, jéj oko błędne, usta zsiniałe. Dzieci spały w téj samej izbie, mąż

sześćdziesiąt-letni sam tylko czuwał przy swéj towarzyszce. Życie naszych wieśniaków jest tak nędzne, że widok śmierci nie jest dla nich ani przykrym ani uroczystym. Dowiedziałam się że ta kobieta była chorą od miesiąca, ale dziś dopiero pomyślano o wezwaniu lekarza. Sąsiadka któréj zlecono to poselstwo, osądziła za stósowniejsze wezwać duchownego, który przybył wkrótce po nas. Ja i Adolf uklękliśmy przy łożu konającéj i słuchaliśmy modlitwy którą czytał duchowny. Nie widziałam nigdy sceny bardziéj smutnéj, dzieci które zbudzono aby patrzyły na ostatnie chwile matki, spoglądały z postacią spiącą i wpół obłąkaną na wszystko co się w koło nich działo; starzec tylko u nóg łóżka wylewał ciche łzy; lampa zgasła; kawałek świeczki palił się w szyjce butelki na stole pokrytym jeszcze resztkami wiejskiéj wieczerzy, dwie głownie dymiły się na ognisku, a przy nich siedzący duży czarny kot zdawał się być pogrążonym w melancholicznych dumaniach; muchy z brzękiem przelatywały w gęstem powietrzu izby i uderzały o twarz moją; zewnątrz słychać było żałosne ryki

wychodzące z obór. Psy szczekały na księżyc zbliżający się do poziomu, a zimny wiatr swiszczał smutnie u drzwi i mięszał swoje szumy z krzykami przenikliwemi naszych ptaków.

Wyszłam z tego mieszkania dręczona złowrogiemi przeczuciami. Ten obraz śmierci który w tak nieprzewidziany sposób wmięszał się w moje myśli, umroził mię mimowolną trwogą; spojrzałam ukradkiem na Adolfa, i nie wiem dla czego zadrżałam widząc go tak bladym, szczupłym, delikatnym, ja sama czułam obawę śmierci. Rozmowa nasza przybrała charakter surowy Adolf który równie jak ja doświadczył wpływu tego smutnego ustępu, mówił poważnie o życiu teraźniejszem, i drugiem, lepszem, do którego jesteśmy przeznaczeni. Pytał mię czy wierzę nieśmiertelność duszy i powiedział że nie raz już pomysł o śmierci spotkał go wpośród samych zabaw, i przyzwyczaił się patrzeć na nią bez trwogi.

— Smierć w tem tylko jest okrutną, mówił melancholicznie, że zawsze prawie przybywa wtedy gdy już jesteśmy ocuceni z wszystkich

marzeń kiedy już dotknęliśmy głębi... stkich rzeczy i skosztowali wszystkich ryczy.

— Przeciwnie zdaje mi się, odrzekłam, że wtedy smierć jest dobrodziejstwem, i że powinnimśy błogosławić ją, jako koniec wszystkich przykrości.

— Ja mniemam, rzekł znów Adolf, że powinniśmy ją błogosławić w każdéj chwili, ale najbardziéj kiedy nas uderzy w pośród szczęścia, okropnie musi być przeżyć szczęście i wiarę i jeśli prawda że wszystko tu na świecie, młodość, wiara, miłość, więdnieją od tchnienia czasu, powinniśmy pragnąć aby ręka Boża zabrała nas stąd w czasie młodości naszych ułudzeń. Szczęśliwi ci którzy padają wśród przepychu swojéj wiosny, okryci liściem i kwiatem, ci nie zobaczą swojéj nędzy.

— Sądzisz więc, rzekłam do Adolfa, że wszystko na świecie więdnie i mija? nie wierzysz wcale w uczucia wieczne? Jesteś zbyt młody żebyś tak mógł mówić.

— Jestem młody, życie moje zaledwie jeden

...a, ale Bóg nawet w samém szczęściu ...ił uczucie znikomiści, w upojeniu najżywszéj radości, któż nie zapragnąłby umrzeć?

Ta rozmowa doprowadziła nas aż do mego zamku! Mąż mój jeszcze nie wrócił, a ludzie moi czekali mię na progu z niespokojnością.

Prosiłam Adolfa aby spoczął nieco w salonie, ofiarowałam mu nawet gościnność w moim zamku aż do jutra. Odmówił: Zapewnie potrzebował równie jak ja samotności i zebrania myśli. Dręczona tą myślą że musiał sam powracać do miasta, chciałam przynajmniej skrócić mu drogę i ofiarowałam mu mego alezana, który zwykle odbywał tę drogę w godzinę.

Gdy Adolf przyjął tę ofiarę, kazałam przełożyć siodło i podczas gdy jeden z służących zajmował się tą robotą, ja z Alfonsem uważaliśmy że to jest ten sam koń którego miałam wtenczas gdy opatrzność pierszy raz stawiła nas przeciw sobie. To spotkanie nasze które zwyczajnéj wyobraźni zdawałoby się prostym przy-

padkiem, dla nas było koniecznem zrzą[dzeniem]
opatrzności.

Sama obejrzałam osiodłanie mego Alezana, i przekonawszy się że popręg nie jest za luźny, strzemiona nie za długie i wędzidło dobrze opatrzone, podałam go Adolfowi.

—Wrócisz pan jutro? rzekłam.

—Jutro! powtórzył odjeżdżając galopem.

Wszedłszy do mego pokoju, nie chciałam mówić z nikim; odesłałam moję garderobianę, chciałam być samą. W ubraniu rzuciłam się na łóżko, ale byłam zbyt wzruszoną żebym spać mogła, wstałam, otworzyłam okno. Zimne powietrze poranku ochładzało mię nieco, nie mogę wypowiedzieć co się działo we mnie, płakałam jak dziecię, i z rozkoszą czułam jak wrzące łzy spadały na zimne moje ręce. Nie wiem jak długo siedziałam u otwartego okna, z czołem opartem o poręcz balkonu, nie myślałam o niczem, byłam pogrążoną w niepojętem uniesieniu niebiańskiem, które mię zupełnie odrywało od ziemi. Opium musi sprawiać podobne upojenie. Niekiedy tylko nerwy moje ściągały się boleśnie, wtedy zdawało mi się że słyszę

ną zwrotkę téj modlitwy za umarłych rą powtarzałam w duszy siedząc u nóg łóżka konającéj wieśniaczki. Z rana kiedy widnokrąg zarumienił się barwą jutrzenki, głowa moja była znużona, powieki ociężałe, cało ciało zmordowane, rzuciłam się znowu na łóżko.

Spałam lekko, sen mój zakłócały dziwaczne marzenia, moja biedna głowa była haosem w którym przemijały z fantastyczną szybkością tysiączne postacie smutne, okropne i przyjemne Tentent konia który wjechał na dziedziniec, obudził mię nagle, zeskoczyłam z łóżka. Byłam ubraną, wybiegłam ku drzwiom prowadzącym na dziedziniec. Otworzyłam je nagle i znalazłam się przed moim mężzm. Szczęśliwa i spokojna twarz tego człowieka uniosła mię nagle w rzeczywistość z któréj wyrwał mię Adolf. Mój mąż pocałował mię w czoło, to pocałowawanie przywróciło mi przytomność; usunęłam się od jego pieszczot, i prawie umierająca uciekłam do ogrodu. Słońce dawno już weszło, jego gorąco ożywiło mię. Usiadłam u stóp jednéj lipy, i zaczęłam zimno przypominać sobie wszystkie wczorajsze wypadki; czułam że kocham Adolfa.

Pierwszy wniosek który wyciągnęłam z rozbioru mego serca, był gorzki i bolesny. Nie byłam zdolną utrzymać długo miłość w stanie spokojnym, czułam głucho cały ogrom i moc zapału i namiętności, i przewidywałam' że wybuch ich tem okropniejszym będzie, że tak długo były przytłumione. Przerażona nieszczęściami, które sobie przygotowałam, powstałam z postanowieniem nie widzenia więcéj Adolfa, i szłam aby przy boku mego męża znaleść spokojność, którą mi porwała jego nieobecność... Tak, mówiłam do siebie wchodząc do salonu, z weselszém sercem, ja mego męża kocham. On jest tak dobry, jego dobroć utwierdzi moję pomięszaną duszę; jego miłość zwroci mię do uczucia mojéj powinności, których dotychczas nadto może zaniedbywałam... Wstępując na wschody myślałam o mojem gospodarstwie, o moich przyjaciołach, moich przywyknieniach, mojém istnieniu tak spokojném, tak czystém i pogodném, i zapytywałam siebie jak mogłam poświęcać tak szczęśliwe przeznaczenie, dla jedno-

dniowéj fantazji. Weszłam do salonu w tak pięknem postanowieniu. Nie wiem przez jakie fatalne zrządzenie, mój mąż który istotnie był bardzo dobry, ale gwałtownego charakteru, w téj chwili straszną sprawiał w domu wrzawę. Szło o jakąś sprzeczkę z jednym z dzierżawców. Nigdy niesłyszałam mego męża miotającego przekleństwa i groźby tak przerażające. Chciałam uśmierzyć burzę jego gniewu, ale mię odprawił z niechęcią i drżąc pobiegłam na powrót do ogrodu.

Sądzę że ta fatalna chwila roztrzygła o reszcie mego życia, moje chwalebne postanowienia ulotniły się od gniewu mego męża, jak rosa pól od promieni gorących słońca; mój mąż był odtąd w mojém mniemaniu okrutnikiem, moje pożycie małżeńskie piekłem, moje istnienie męczarnią, złorzeczyłam losowi że mię oddał mężowi bez czucia, dzikiemu, i tyle starałam się wmówić w siebie moje nieszczęście, jak przed niedawną chwilą usiłowałam preekonać się że jestem najszczęśliwszą z kobiet. Wszystko byłabym przebaczyła memu mężowi, nie mogłam mu przebaczyć że się wystawił na śmieszność,

bo gniew jest zawsze śmiesznym; gniewem nie potrafiemy się wznieść nad najniższego z sług naszych.

Wiesz moje dziecię co twoja babka zebrała z swego życia? Pobłażanie dla wszystkich, a największą surowość dla siebie. Nasze przyrodzenie jest rzeczą bardzo wątłą, kruchą, nędzną. Jeśli nie jesteśmy hypokrytami względem innych, jesteśmy niemi względem nas samych, łudziemy nasze sumienie, mamy zawsze tysiąc sposobów oszukania go, zajmujemy się rzucaniem ciastek dla tego cerbera, który czuwa u drzwi naszego serca. Gniewałam się na mój los, ale w głębi ucieszyłam się że w uniesieniu mego męża znajdowałam uniewinnienie moich wczorajszych postępków, i bardzo naturalną sposobność oddania mego serca Adolfowi.

Przypominałam sobie z radością jego słodki, przyjemny obraz, i dla uniknienia nudów obecnéj godziny, puściłam myślom moim wolny bieg wpośród świata marzeń. Tak, mówiłam sobie patrząc na drogę którą miał przebyć, tak przyjmuję cię jako pociechę którą mi niebo ofiaro-

wało; lube dziecię które mi otworzyłoś drogę do roskoszy nowego życia, dla ciebie jednego zachowam tę duszę któréj istnienie nadałoś, do ciebie należy ten skarb który dotąd leżał zagrzebany w mojem łonie i o którym bez ciebie jeszczebym teraz nie wiedziała. Tak, kocham się i czekam na ciebie... Nie chciałam tego czynić, ale odpychana ze wszech stron, muszę cisnąć się do jednego serca które nie jest dla mnie zamkniętém.

Widzisz moje dziecię, że exaltacja moich uczuć niezły wstęp czyniła do zarysów romansu podług teraźniejszéj mody. Dla tego nie mogę wstrzymać się od wyrażenia pochwały czytając niekiedy te książki które mi przynoszą echo moich młodych lat, tylko czytając te twory cierpiących serc i chorobliwych wyobrażeń, których celem jest malować życie i przedstawiać jego walkę, rozkosze i boleści, chciałabym żeby mniéj wierne poezji niż rzeczywistości, te dzieła nie kończyły się zawsze w paoroxyzmie namiętności; tych bohaterów i bohaterki, które widzę z początku blade, piękne, żywe, ogniste, chciałabym widzieć na ostatnich kartkach

z szczyptą tabaki w palcach, przy kominku, z młodym wnuczkiem, i słyszeć ich z zimną rozwagą przypominających sobie przesadne rzuty swojéj młodości; zdaje mi się że podobne rozwiązanie zręcznie dołączone do każdego z teraźniejszych romansów, uzupełniałoby ich treść doskonale i było obfitem w moralności wszelkiego rodzaju.

Adolf nie przybywał, droga samotnie rozwijała się wpośród łąk, nie widziałam nic na widnokręgu prócz ruchomych szczytów drzew. Wytężałam słuch, i nie słyszałam nic więcéj prócz szmeru liści które w około spadały z drzew. Co teraz czyni Adolf? jakie marzenia przedstawiały mu się we śnie, w którym świecie krążyły jego myśli od czasu rozstania się naszego? Jakie wrażenie uczyniła na duszy jego ta noc przepędzona śród pól? Ah, bezwątpienia on mię kocha, bezwątpienia o mnie marzy we śnie, byłam aniołem który go ocucił i odtąd będę dla niego szczęściem i celem jego życia. Czyliż nie czułam drżących ust jego na mojej ręce, jego wrzącego tchnienie kiedy patrzył na mnie; czyliż jego pomięszanie nie było równem mo-

jemu? czyliż nie drżał spotkawszy moje lękliwe spojrzenie? o tak, Adolf mię kochał!?.. kochał mię może już od dwóch lat, od dnia w którym odwaga jego ocaliła mię w górach... A ja, zapomniałam o nim, moja pamięć nie mogła zachować nadobnych rysów mego wybawcy! Niewdzięczna, jemu winną byłam przynajmniéj dwa lata miłości.... Tak, oddam ci je, mówiłam do siebie w moim szalonym zapale, oddam ci życie które mi poświęciłeś, ty sam tylko będziesz mógł uczuć ile zawiera miłości to serce!..W mojem upojeniu obsypywałam kwiatami szczęścia całą naszą przyszłość. Przeszkody które mię przestraszały przed godziną, znikały jakby przez czary, burze których huk słyszałam na mojém niebie, zmieniały się w pieszczące wietrzyki i ta część nieba która w mojem przerażeniu pokryła się czarnemi chmurami, rozwidniała się promieniami mojéj miłości....

O moje dziecię, trzebaby mi całego zapału mojéj młodości, którego już nie mam, całéj poezji wyrażeń któréj nigdy nie miałam, aby cię unieść w te krainy czarowne, które przebiegałam z wyobrażeniem Adolfa, kiedy mój kocha-

ny małżonek, którego postrzegłam przez liście alei, sprowadził mię nagle na zimną ziemię.

Burza w jego sercu ustała, ale w mojem trwała jeszcze.

—Kochana przyjaciółko, rzekł dobywając z kamizelki ogromny zegarek i pokazując mi że już jest jedynasta, czy nie pójdziesz na śniadanie? Nieszczęśliwy! przypominać mi nędzne potrzeby ciała, w chwili kiedy syciłam się niebieńską ucztą duszy. Nie miałam nawet mocy odpowiedzieć, i odwróciłam oczy od tego człowieka z ciała i kości, aby je zwrócić na drogę ciągle jeszcze pustą, na któréj spodziewałam się zobaczyć mój ideał.

—Czy czekasz na kogo, kochana przyjaciółko? zapytał zupełnie obojętnie.

—Tak, odpowiedziałam dumnie, czekam na pana Adolfa.

—Na małego Adolfa? zapytał mój mąż z podziwieniem.

—Na pana Adolfa, powtórzyłam z godnością. Widziałam go wczoraj w zamku Chenette, i oczekuję go. Ty znasz go?

—Znam.

—Dziwić się muszę, że ty który zdajesz się mieć upodobanie w sciąganiu do naszego domu wszystkich głupców i oryginałów całego miasta, nie pomyślałeś żeby w nagrodę za ich nieznośne wizyty, przyprowadzić mi choć raz tego młodzieńca.

—I owszem, moje dziecię, odpowiedział mąż mój zupełnie spokojnie. Głupcy i oryginały mają jednak jakąś specjalną wartość, ale ten mały Adolf jest człowiekiem tak nic nie znaczącym, że nie mniemałem nawet,żeby śmiać się z niego było można.

Po tych słowach mąż mój odszedł, a ja pozostałam jakby piorunem rażona na mojém miejscu. Sądzę że nigdy w życiu nie doświadczyłam bardziéj gorzkiego oburzenia i głębszego poniżenia... O mój Adolfie, tak ciebie sądzić! ciebie, mego bohatera, moje wszystko!.. Pomszczę cię! zawołałam, tak, moja miłość pomści się za obelgi i pogardę głupców... Byłam zapalczywie rozgniewaną,wmojéj czułości, w mojéj dumie, mojéj próżności; wszystkie węzły mego serca cierpiały. Pragnęłam żebym mogła poświęcić Adolfowi świat cały, i pragnienie

zemsty dozwalało mi pieścić się wyobrażeniami któreby kilku minutami pierwej pokryły czoło moje rumieńcem wstydu.

Potém kiedy moje oburzenie uspokoiło się, nagle przejęła mię przerażająca trwoga. Krew ścięła się w moich żyłach, i sądziłam że moje serce pęknie w moich piersiach; zimny pot chłodził moje czoło, nogi drżały pode mną.

Ah mój Boże! zawołałam opierając się o drzewo i kryjąc twarz w rękach; ah, mój Boże!... A jeśli on prawdę mówił, jeśli kochałam tylko cień, widmo!... jeśli mój sen ma zniknąć; Dojść aż do nieba, czuć prawdziwe życie, poić się jego balsamem i obudzić się na martwéj ziemi! oh! to byłoby okropnie!... A jednak jeśli mam się obudzić! jeśli za obudzeniem się znajdę tylko dziecię bez duszy, bez cnoty, jeśli mam się rumienić mego ideału! jeślibym musiała zniszczyć to co uwielbiam....

Niestety, niestety! czyliż ta miłość znajduje się jeszcze gdzie indziéj prócz mojéj głowy? czyliż ona nie jest uniesieniem zrodzonem przez kilka godzin milczenia śród nocy gwiazdzistéj

śród uspionych pól, przez poezję romantycznego położenia, albo usposobienia mojéj duszy niespokojnéj i pomięszanej!

Długo zostawałam zatopiona w tych rozwagach dręczących; byłam zupełnie w położeniu człowieka który upojony dźwiękiem instrumentów, wonią kwiatów i ruchem tańca, nagle zajął się piękną maską z małą nóżką, białą rączką, zgrabną kibicią, i który odgadując ukryte wdzięki pod atłasową maską, drży i wacha się w chwili kiedy maska spadając ma może zniszczyć nadzieję całéj nocy; drżałam czekając przybycia Adolfa. Już nie śmiałam patrzéć na długą zapyloną wstęgę która wiła się wskróś łąk, najmniejszy szelest który mi wiatr przynosił przejmował mię drżeniem, byłabym chciała żeby Adolf nie przybył, pragnęłam żeby jaka nieprzewidziana przeszkoda zatrzymała tego młodzieńca w mieście, nie mogłam się odważyć na tak prędkie zniweczenie mego szczęścia. Kiedy sobie przypomniałam urocze godziny które spędziłam z Adolfem, to wszystko co mi on mówił, o swojém życiu, o swojéj tęskności do lepszego życia, kiedy ożywia-

łam w mojem sercu obraz tego pięknego dziecięcia, którego spojrzenie było tak czyste, głos tak słodki, słowa tak tkliwe, kiedy go sobie wystawiałam pochylonego na swoim dużym koniu, tak jak go widziałam wieczorem, białego jak księżyc który oświécał jego lice, łagodnego jak wietrzyk który igrał z jego włosami, wtedy śmiałam się z mojéj obawy, szydziłam z niespokojności i znowu unosiłam się ku A.. dolfowi z nowym zapałem... Potem znowu wracała moja trwoga, zdawało mi się że słyszę w około wybuchy szyderczego śmiechu, i niewiem dla czego, śród tych śmiechów mięszała się modlitwa za umarłych, którą odmawiałam w nogach łóżka wieśniaczki.

W ten sposób spędziłam blisko godzinę między niebem i ziemią, na przemian gubiąc się w obłokach i roztrącając się o ziemię; razem najszczęśliwsza i najnieszczęśliwsza z istot ziemskich, godna zazdrości i litości całego świata. Wycieńczona tylu rozmaitemi wzruszeniami, rzuciłam się na mech u stóp jednéj lipy i błędnem okiem patrzyłam na drogę która iskrzyła się od promieni słońca... nagle podniosłam się

z krzykiem: ujrzałam tuman kurzu wznoszący się na widnokręgu, i usłyszałam szybki gałop konia. Przycisnęłam serce moje dwiema rękami, jakbym obawiała się żeby nie wydarło się z mego łona, i pobiegłam na brzeg rowu który oddzielał ogród od drogi. Poznałam bieg mego alezana; to Adolf, mój piękny Adolf pędził ku mnie. Alezan przesunął się przed memi oczyma jak kamień wyrzucony z procy, ale siodło było próżne, lejce włóczyły się w prochu, a strzemiona uderzały o dymiące i spienione boki rumaka.

Padłam bez zmysłów na murawę. Nie wiem ile wieków upłynęło od téj chwili. Gdym się ocknęła, byłam w mojem łóżku, miałam gorączkę, mój mąż czuwał przy mnie a doktór liczył uderzenia mego pulsu. Skoro tylko mogłam zebrać pojęcie w mojéj biednéj głowie, podniosłam się szybko i rozdzierającym głosem zapytałam o Adolfa.

Adolfa już nie było, mój koń zrzucił go na stós kamieni leżący przy drodze, i biedne dziecię skonało na miejscu.

Przyjęłam tę wiadomość z przerażającą zimną

krwią. Oświadczyłam że zdrowie moje nie wymaga ani starań doktora, ani czuwania męża chciałam być samą. Wypełniono moją wolę; pozostałam sama przez cały miesiąc w moim budoarze. Dwadzieścia razy przyszedł mój mąż chcąc wejść do mnie, dwadzieścia razy drzwi były zamknięte. Przez miesiąc nie widziałam nikogo prócz mojéj pokojowéj. Sam Bóg tylko widziéć mógł ile łez wylałam. Gdym wyszła z budoaru, byłam spokojną i tylko wyschła bladość mojego lica zdradzała boleści które niszczyły moję duszę. Zabroniłam wymawiania imienia Alfonsa w mojéj obecności, ty jesteś jedyną żyjącą istotą przed którą usta moje wymówiły to imie tak drogie. Rozkazałam żeby alezan nigdy już nie był używany do jazdy i pozwoliłam mu swobodnie biegać po łąkach. Kiedy smutna i samotna przechadzałam się po równinie, szlachętne zwierzę podnosiło głowę i przyzywało mię głośnem rżeniem, ale ja odpowiadałam mu tylko spojrzeniem bolesnego wyrzutu, i skrapiałam łzami drogę którą postępowałam.

Nie chciałam nigdy jechać do Chenette; nie chciałam nigdy widzieć miejsc, które przebiega-

łam z Adolfem, zachowałam w zupełnéj czystości wszystkie te wrażenia które mi zostawiła ta noc uroczysta; strzegłam kwiaty moich wspomnień od wiatrów któreby je suszyły i niszczyły, zachowałam je w całéj świeżości i świetności pierwotnéj. Często chciano mówić ze mną o Adolfie, nigdy na to nie pozwoliłam. Cóż mię obchodził Adolf którego znano w mieście, cóż on miał wspólnego z moim Adolfem? Ten którego ja znałam nikomu się nie okazał takim, ukazał on mi się wśród jesiennéj nocy jak anioł niosący mi niebiański ogień, który mię ożywił, i te nogień nigdy nie zgasł, i czuje jeszcze jak płonie pomimo lodów mego wieku,

Ta miłość nie uległa okrutnemu prawu zniknienia czarownéj ułudy. Smierć odlała z brązu postać Adolfa w mojém sercu, znajduję go tam zawsze, czystego, młodego, wdzięcznego jak w dniu w którym widziałam go po raz pierszy w Chenette, i lata któremi się zestarzałam, nie sprawiły ani jednéj zmarszczki na jego czole. Co do niego, dla czegóż miałabym użalać się nad nim? umarł, jak chciał umrzéć, wśród zieloności swoich pierszych ułudzeń, przykrył

się obfitością ich kwiecia, nie widział jak ja ich zniszczenia. Szczęśliwe dziecie! on nie poznał ile życie zawiera w sobie goryczy i niesmaku, ile uczucia ludzkie są bezsilne i niedokonałe, nie doświadczył ani uchybień przyjaźni ani zdrady miłości, śmierć uderzyła go śród chwały jego młodości, wtedy kiedy radosny wybiegał ku szczęściu które mniemał być nieskończoném.... Ah, nie ubolewajmy nad nim, ziemia jest mu lekką, bo jej nie zwilżył swemi łzami.

Po skończeniu tego opowiadania moja babka oparła czoło o marmur kominka i ucichła. Szanowałem zadumanie w którém widziałem ją pogrążoną i w milczeniu jak ona poruszałem popiół ogniska.

Wyjątek z Dramy, pod tytułem Macocha, przez Józefa Łopacińskiego.

DJALOG.

(*Kiedy tańce ustały wchodzi jeden dziwacznie ubrany staje na środku i mówi:*)

Posłuchajcie cne panie, posłuchajcie pany,
Jako hymen miłością i sławą zagrzany,
Biedzi się czyli żądzom swojéj duszy sprostać)
Czy ulubieńcem sławy, czy miłości zostać,

Biedny, sława go nęci wabi głośne imie,
Miota żądza wielkości — miłość cicho
(drzémie,
Widzi przed sobą wielkich, zazdrości ich
(chwale,
Wzlata z ziemi do nieba — okiem płoszy
(chmury,
Wszystko przed nim upada — kupida,
(laury,
Są dla niego tem czem wiatr słodki zimnéj
(skale,
Biedny hymen, on marzy — w tém się mi-
(łość budzi,
Odsłania świat zmysłowy i ziemię i ludzi,
Anielskie żądze jego w ziemskie stroi
(szaty,
Niknie urok ułudy wyobraźni kwiaty,
Walka silna powstaje — sława z jednéj
(strony,
A z drugiéj wdzięczne sercu brzmią miłości
(tony,

Duma żądzę podnieca — serce rajem mami,
Jak się to wszystko skończy zobaczycie
(sami,

Wychodzą dwaj jeden jako hymen drugi jako sława, wszyscy przytomni zasiedli swoje miejsca, wtém rozpoczyna się djalog.

Sława.

Synu śmiertelny oto nieśmiertelne tchnienie,
Oko — oko cielesne zmysłów ułudzenie,
Otwórz je — sięgnij w niebo — widzisz co
(tam błyska,

Hymen.

Gdzie?

Sława.

U przybytku sławy u chwały siedliska,
Jaśnie jakoby zorza na obłoków łonie,
Znasz ty ich, są to wielcy ludzie już po
(skonie,
Patrz jak świat jako w tęczę w nich swe
(zwraca oczy,
Ziemia, ziemia ich dzieli, lecz niebo jednoczy,
O niebo — znasz ty niebo — marzyłeś o
(niebie
Marzyłeś? —świat nie pojął lud się wyśmiał,
(z ciebie,

I gdyś senne twéj duszy opowiadał cuda,
Cóż rzekli; to dziwactwo — szaleństwo, o
(błuda
Za mną, kto się ośmieli — zapał siły doda,
Ziemia — tu — u stóp twoich — w niebo
(myśli młoda,
W niebo — dusza dla nieba — a dla ziem,
(ciałoi

Hymen.

Sławo! — rzekłaś — spłonąłem — uczuci,
(zawrzało
Pojmuję cię — pojmuję — mamże żyć na
(ziemi,
I pełzać jako robak — kiedy w życia grobie,
Ni roskosz rzuci kwiatek — nadzieja za-
(błyśnie
I w głuchéj nieczynności młode przespać
(lata,
Sławo! ja dawno marzyłam o tobie,
Lecz co myśl w niebo wzleci, świat ją
(w piekło ciśnie,

Unoś mnie po nad ziemią — niech bujam, (z anioły,
Drży serce — niebo płonie — wzburzone (żywioły,
Pierś pioruny wyrzuca — cnotę wskrzesza (sława
Rozum mierzy — rozbiera — zapał tworzy (prawa,
Zapał w sercu anielskiém dojrzały zrodzony
Sławo, tam po nad światem — tamte przebiedz strony,
Tam przeżyć — tam przemarzyć — tam prześpiewać lata,
Błysnąć światu jak gwiazda — lecz umrzeć dla świata.

Sława.

Synu ty mnie pojmujesz!

Hymen.

O pojmuję ciebie,
Za nim oko me słońce ujrzało na niebie,
Za nim pierwsze westchnienie — tak pierw- (sze westchnienie,
Było do ciebie,

Gdym marzył — jeszcze młodość nie ujrzała
(świata,
Ani serce podoiło roskoszy spojrzenie,
Gdym marzył — myśl ma czysta — jak
(wiosenne lata,
Kiedy oczy odkryjesz — ujrzysz ziemię —
(życie,
Pieścisz się — jak to piękne — jak wznio-
(słe — co chwila,
Nowe życia powaby — jako małe dziecię,
Toczy okiem z roskoszą za lotem motyla,
Tak młodość patrzy na życie,
Roskosz serce upaja — uśmiech zdobi usta,
Szczęście — szczęście prawdziwe — urojenia
(kwiaty,
Tak — aż tu rozum z wiekiem aż tu ro-
(zum z laty,
Cóż widzi — człeka życie — bańka slknąca
(pusta,
Pierwsze marzenie dla ciebie.
Pomnę, ach pomnę w méj młodości niebie,
Kiedy ciemność okryła dni pogodne życie,
Błądziłem wśród ciemności — nie znając
(spokoju,

Jedna mi tylko gwiazda świeciła z ukrycia,
W niąm się patrzył — ta gwiazda — była
(gwiazda twoja,
Pomnę — pomnę — gdy sen już czucia
(ukołysze,
A dusza jeszcze czynna maluje obrazy,
Straszne — dzikie —ponure — jak śmierci,
(wyrazy.
Lub Boskie — jakich nigdy i nikt nie o-
(pisze,
Jeden obraz co wszystkie me zachwycał
(zmysły,
Jeden obraz —jako świat za tworcy roskazem
Powstał—ożył—dzień i noc—i gwiazdy za-
(błysły,
Ciekły strumyki—słońce stało w niebie,
Tak ten obraz gdy wszystkie me obudził
zmysły,
Jednym wyrazem.
Zadrżało serce — przedałem mu siebie,
Ten obraz — obraz był twoim obrazem

Sława.

—Synu! zjiszczę twe chęci — do nieba cię
wzniosę,

Poznasz światy zakryte przed spojrzeniem
ciała,
Jedna nam będzie co dnia zorza przyświecała
Dla nas słońce w kolory stroić będzie rosę,.
Całując złote jutrzenki lica,
I •pieszcząc serce niebieskiemi śpiewy
Jak wdzięcznym tonem miłości dziewica.
Synu będzieszże szczęśliwy?

Hymen.

Najszczęśliwszy z ludzi.

Sława.

—A więc za mną w niebiosa—boskie to krainy,
Bóg je wyrył na sercu, — jak w oku dziew-
czyny
Owe czułe spojrzenie które zmysły ludzi,
Bóg je wyrył na sercu — jak czułe wes-
tchnienie,
Z piersi jeszcze niewinnéj — niebiosa prze-
bija,
Ale świat — w brudach życia nurzając spoj-
rzenie,
Co piękne — co jest wzniosłe—odrzuca, po-
mija,

A więc za mną w niebiosa — młodość zwalcza piekła,
Ręką zapału wieczne rozłamiesz zapory,
Lecz pomnij, gdy twa dusza raz się ziemi zrzekła,
Niech już ją od niéj cała wieczność dzieli,
Bo gdy z nieba choć na świat spojrzeć się ośmieli,
Żądza ją zamknie w ciało.

Hymen.

A więc daléj,

Sława.

Daléj!

Miłość się pokazuje.

—Wstrzymaj się o hymenie ach nie bądź tak skory,
Za nim się dusza twoja od ziemi oddali,
Spojrzyj na te powaby które miłość rodzi,
A niech serca twojego próżność nie uwodzi,
Mamiącym słowom sławy nadstawiałeś ucha,
Sercež twoje miłości głosu nie usłucha,
Posłuchaj — próżność — próżność —cóż jest głośne imie,

Czyż jeden błysnął światu — i w boju i
w rymie,
Czyż jeden boskie słowa śmiertelnym roz-
(siewał,
Dzień, rozkwitł na niebiosach — światu ptak
(zaśpiewał,
Wieczór cienie rozpostarł — ptak umilkł —
(dzień zgasnął,
Czyż jeden jak ty marzył — zadrzémał i
(zasnął.
Szczęście — co mi za szczęście — że wspo-
(mną o tobie,
I życiem twem jak cackiem świat się bawi,
(pieści
Kiedy serce twe czuje — dusza w ziemskim
(grobie
Tworzy — oni słuchają jak gdyby powieści,
I gdy zranione serce odkrywasz dla świata
Aby okiem litosnem ułagodzić rany,
Spojrzą — w oku szyderstwo — uśmiech
(z ust ulata,
I jako przedmiot żartów, bywasz wspominany,

Potomność! — cóż potomność — imie twe
(odgrzebie
Szczęście — szczęście nie małe — ty się
(rozśmiej z niego
Kiedy życie zagaśnie — i czucia odbiegą,
To wszystko umrze dla ciebie,
Bawmy się życiem — piękny kwiatem
(róży
Słońce wypieści — zefirek rozwinie,
Zaledwie świat zobaczy i w téjże godzinie,
Upał go lata zważy — cios zabije burzy,
Bawmy się życiem — miłość szczęście
(życia,
Ona je zdobi — ziemię w raj zamienia,
Słodkie ci tworzy nadzieje z powicia,
Słodkie w starości przyzywa wspomnienia,
Pójdź — pójdź w moje uściśnienia,
Wszak sam serca głos cię wzywa,
Wiosna dla nas kwiatki sieje,
Jesień dla nas kwiatki zrywa,
Bóg dla nas stworzył nadzieje,
Pójdź uściśniéj mię.

Hymen.

— Wstrzymaj się.

Miłość.

Daj mi rękę, na mem łonie
Niech ją złożę,
Czujesz może,
Co tam płonie
Do ust twoich usta moje
Przycisnę.

Hymen.

Precz — ty znów swoje,

Miłość.

Słuchaj — jakto kochać miło,
Twarz powabna jak aniołka.
Wdzięk róży — skromność fijołka,
Serce — jakby z nieba było,
Takie dziéwczę kochać miło,

W jéj oku dusza jaśnieje,
Łza twoja smutek jéj sprawia,
Na ustach dobroć się śmieje,
Przez ust serce przemawia,
Żywa jako myśl młodziana,
To w niebie — na ziemi znowu.
Niewinność w twarzy rozlana,
Choć żywość przodkuje słowu,
Westchnienie — już ją rozczuli,
Obrazi wietrzyk swawolny,
Że do jej łona się tuli,
Kochać ją — jestżeś nie zdolny,
Kiedy myśl płocha przeleci,
Serca jéj dotknie — wzrok kryje,
Zorza miłości zanieci,
Dziewcze czuje — serce bije,
Pierwszy kwiatek—pierwsza chwilka,
Nowe światy, nowe raje,
Niebem uśmiech jest motylka
Niebem, niebem ziemskie kraje,
Powiedz dziewcze coć się zdaje?
Pójdź — pójdź— w moje uściśnienia,
Wszak sam serca głos cię wzywa,

Hymen.

— Miłości słodkie twoje są spojrzenia,
Nie próżno młodość niebem je nazywa,

Miłość.

— Co ci po sławie — samotnik na świecie,
Jak martwy skąpiec gdy nim żądza miota,
Siedzi jak gdyby przykuty do złota,
Ani mu wiosna kwiatki uplecie,
Ni jesień ręką przyjazną obdarzy,
Żyje dla złota — ty żyjąc dla chwały,
Darmo twa dusza o szczęściu zamarzy,
Próżno wiek serca obudzi zapały.
Ty czuć to będziesz — lecz jako skazany
Na wieczne żądze — na wieczne pragnienie,
Od świata tego odwrócisz spojrzenie,
Abyś je pieścił pomiędzy niebiany,
A te pieszczoty — darzą szczęścia chwilką,
Niosą w korzyści — roskoszne wesele,
Nie — nie — cóż przecie — łzy tylko,
Tak gdy próżności kwiat sława uściele,

Powabna droga — zwracasz tam swe kroki,
Pieści cię próżność myślami Boskiemi
Porzucasz ziemię ulatasz w obłoki,
Ażebyś płakał do ziemi,
Po co te myśli—Bóg dał duszę, ciało,
I im właściwe naznaczył granice,
Ciało by z ziemią tylko rozmawiało,
Dusza by w niebo zwracało źrenice,
Jeźli za drugą myśl twoja ulata,
Cierpisz — bo ciało swych się praw nie
(zrzeka,
Jeśli cię zaś to przykuje do świata,
Nie warteś wtenczas imienia człowieka,
Żyjąc na świecie—ucz się żyć dla świata,,
Róża swą główkę wychyla,
Z pośród zielonych obsłonek,
Różyczko czy witasz dzionek,
Czyli przybycie motyla,
—Dzionek czy wstanie czy zaśnie,
Nie dbam o jego śmierć—życie,,
Motylek kocha mnie właśnie,
Czekam na jego przybycie
—Fijołek pod traw powoje
Kryje się—trawką przyrzuca,,

Fijołku, czy oko twoje,
Dzień razi lub noc zasmuca,
—Dzień lub noc nie dbam ja wcale,
Nie widzę—wieczoru—ranka,
Trawka jest moja kochanka,
Jéj to całuję korale,
—Dziewico jak polny kwiatek,
Zawsześ smutna—zawsze sama,
Czy cię odumarł tatek,
Czy ciocia, braciszek, mama,
Nie smuć się—próżno nad stratą
Łzy ronisz—chmura grom ciska,
Drzy ziemia—a skał urwiska,
Nie czule patrzą się na to
I choć w nie piorun ugodzi
Łza smutku ocz nie zalewa,
Ha smuć się—smutek nie szkodzi,
W niedoli serce dojrzewa,
—Utratę taty lub mamy,
Czasby złagodził ten smutek,
Lecz my się z Jasiem kochamy
A tutaj pełno filutek,
Ta spojrzy, czule zanuci,
Ta wianek piękny uplecie,

A ja—jak mnie Jaś porzuci,
Cóż mi natenczas po świecie,
O tak—miłość jedyną rozkoszą na świecie,
Jak miło na lubéj łonie,
Czytać swe szczęście w jéj oku,
Kochanka szczera przy boku,
I wiejskie ustronie.
Dla kogo zbierasz do wianka,
Komu kwiatki splatasz w wianki,
Kwiatki te lubi kochanka,
Wianek plotę dla kochanki
Z wianka zrobie jéj ofiarę
Swe sploty ozdobi w wianek,
A mnie za to—słówek parę
Tak mówił młody kochanek,
Czemu nie idziesz chłopczyno,
Kochanka na wianek czeka,
Tem polem—tamtą drożyną,
—To droga bardzo daleka.
Hop daléj przez te zagony,
Podobno będzie najbliżéj,
—Dzień dobry, wianek jak świeży,
Jakże ty jesteś zmęczony,
Swawolnik—nie dbasz o siebie.

Łajesz mnie—w borku za rzeką,
Zbierałem kwiatki dla ciebie,
A ztamtąd dosyć daleko
Przez drogę, idąc najbliżéj,
Skakałem przez rów zagony,
Dla tego jestem zmęczony,
Lecz wianek — piękny i świeży,
Ale mój Jasiu raz drugi,
Zważaj też na zdrowie przecie
Gdy zginiesz dla méj przysługi,
Cóż mi natenczas po świecie.
A ten obraz — ten obraz czyż cię nie (rozczuli?

Piękna z roskoszą na twarzy,
Do łona dziecinę tuli,
Matka i marzy,
Dziecino tyś życie moje,
W tobie méj duszy połowa,
Niechaj Bóg strzeże dni twoje,
Żyj zdrowa,
W ojcowskie cnoty przybrany,
Sława twe imie rozsieje,
W tobie narodu nadzieje,

W tobie mój synu kochany,
Staniesz — a kto wie — mój Boże,
Droga to jeszcze daleka,
Ja już me kości położę,
Za czem ty wyjdziesz na człeka,
I znowu dziecię przytuli,
Spij mój malutki,
Luli luli,
Co to za oczki filutki
Co to za uśmiech anioła,
Oj figlarz — co za kolory,
A piękność czoła,
Malarzom wzory,
Spij mój malutki,
Luli luli,
Co ci po sławie — jéj dumne spojrze-
(nie
Ziemią pogardza, ziemskie szczęście
(płoszy,

Hymen.

Miłości wzdycham do twoich roskoszy,
Nad sławę, życie — więcéj ja cenię,

Wszyzcy.

Słusznie — słusznie hymenie to rosko sz
(jedyna,
Miłość — ale wzajemna gdy piękna dziew
(czyna

Koniec djalogu.

PŁYWAJĄCA LATARNIA MORSKA.

Jednéj z owych ciemnych, burżliwych nocy, podczas których północne morze bardzo jest niebezpieczne, srożyła się nadzwyczajnie nawałność morska. Przeprawiając się z Bergen do Christjansundu, płynęliśmy na przewozowym statku. Podług obliczeń kapitana, który téj

żegludze przewodził, powinniśmy byli znajdować się blisko wybrzeża Norwegji, ale któż nam mógł zaręczyć, że obliczenia jego są nie mylne? Powierzchnią morza, którą zaciekła burza wzdętemi wałami bez ustanku piętrzyła, zaściełały jakby szerokim płaszczem ciemności nocne; potężne bałwany rozbijały się co chwila o ściany naszego statku. Majtkowie byli prawie wzroku pozbawieni natarczywym deszczem, który siekł ostro ich policzki; nie mogli na żaden sposób ani zwinąć żagli, ani też innych wykonywać obrotów, jakich w téj chwili konieczność wymagała... Położenie nasze było prawdziwie okropne.

Prócz tego kapitan naszego okrętu nie miał ani sprężystości ducha ani potrzebnéj odwagi; na widok niebezpieczeństwa nie umiał sobie zaradzić. Dla stłumienia w sobie bojaźni, pił bez umiarkowania, i wydawał najsprzeczniejsze rozkazy, które osada okrętowa nareszcie wykonywać zaprzestała.

Około północy wytężona siła burzy wzięła nam główny żagiel, i wkrótce potém postrzegliśmy wodę w okręcie. Pomimo użycia wszel-

kich sił do jéj wypompowania, natarczywa powódź cisnęła się z taką przemocą, iż okręt z strasznym pośpiechem tonąć zaczął. Całą nadzieją naszego ratunku była łódź duża; z wielkim pospiechem spuszczono ją z pokładu; nie minęła chwila, a już nas wszystkich zabrała; sam tylko kapitan pozostał jeszcze na okręcie.

„Kapitanie spiesz się, wsiadaj na łódź jeżeli zginąć nie chcesz!" zaczęli wołać majtkowie.

Lecz on ich już nie rozumiał. Dziwacznym szałem rozmarzony, jak się to zwykle w opilstwie dzieje, mniemał, iż majtkowie pomimo jego rozkaz na połów ryb się udają, a oburzony takiém lekceważeniem swojéj władzy, zaczął grozić i najokropniejsze miotać przekleństwa.

Najmniejsza zwłoka mogła nas wszystkich przywieść do zguby. Rozhukane bałwany tłukły gwałtownie łodzią o żebra tonącego okrętu; obawialiśmy się, aby jedném potężném uderzeniem w kawałki się nie rozleciała: ale jakkolwiek nie było chwili do stracenia, nie mogliśmy jednakże oddać nieszczęśliwego na śmierć oczywistą. A że niepodobieństwem było pijanego nakłonić, by

wskoczył do łodzi, więc jeden z majtków jeszcze raz wydostał się na okręt i starał się wziąć go przemocą z pokładu; lecz to wszystko nic nie pomogło; majtek był zmuszonym zostawić go na okręcie i znowu do łodzi wskoczyć.

„Odetnijcie linę, odetnijcie linę!“ zawołali wszyscy.

Ja starałem się jeszcze przynajmniéj na małą chwilkę wstrzymać ten zamysł, lecz nadaremnie. Odcięto linę od okrętu, a lekką łódź naszę poniosła powódź lotem strzały w czarną noc topieliska!

Tym sposobem z jednego niebezpieczeństwa oddaliśmy się drugiemu, czyli raczéj zawsze jeszcze to samo zagrażało nam niebezpieczeństwo, tylko pod inną postacią. Łódź nasza na tak wzburzoném morzu na żaden sposób długo utrzymać się nie mogła. Raz na szczycie wzdętych bałwanów pod niebo wyrzuceni, to znowu pogrążeni w głęboką przepaść, bez ustanku widzieliśmy śmierć przed naszemi oczyma. Żaden z majtków nie przemówił ani jednego słowa, każdy z bijącém sercem oczekiwał téj chwili, kiedy go żarłoczne bałwany w swoję paszczę pochłoną.

Pomimo ciemność nocy, poznawaliśmy tonący okręt po kilku rozdartych szmatach wielkiego żagłu, któremi ciągle jeszcze w około masztu wiatr miotał. Czasem dolatywał nas burzą i ryczącemi falami stłumiony głos kapitana, który wrzeszczéć i okropnie bluźnić dotąd jeszcze nie przestawał.

Po niejakim czasie rozjaśniała się cokolwiek w około nas przestrzeń morza, a my postrzegliśmy w oddaleniu jakąś czarną massę; byłto tułów naszego okrętu, którym okropnie na wszystkie strony zhukane bałwany ciskały; razem zdało się nam, iż stanął na jednéin miejscu, przednia część jego podniosła się w górę jakby koń, który dęba staje; potém nagle złamały się nad nim wzniesione fale i w tejże chwili poszedł w bezdenną głębię, ani śladu po sobie nie zostawiwszy. Okropnie przeraźliwy, serce rozdzierający krzyk rozległ się jeszcze raz po morzu i—już o jednego człowieka i o jeden okręt—było mniéj na świecie!

Majtkowie puściwszy z rąk wiosła, spojrzeli w milczeniu jeden na drugiego; gdy w tymże samym czasie sternik zawołał głośno, że wi-

dzi światło w oddaleniu. Na ten głos spojrzeliśmy wszyscy w stronę wskazaną, i postrzegliśmy w samej rzeczy jakieś słabe, chwiejące się światełko, nie mal do gwiazdy pośród dżdżystéj, ciemnéj nocy podobne; na ten widok dał się słyszéć w naszéj łodzi powszechny głos radości. Między innymi ozwał się stary majtek: iż to będzie zapewne, pływająca latarnia morska, którą kapitan jeszcze przed wieczorem na morzu spostrzegł. Jeźli do niéj dostać się nam powiedzie, ocaleni będziemy!

W okropnéj walce z burzą i bałwanami upłynęła jeszcze cała godzina. Co chwila wyciągała śmierć groźną rękę po swój łup do naszéj łodzi. Atoli oczy nasze zwrócone były nieustannie ku światłu, do któregośmy stérowali. Jużeśmy się do niego tak mocno byli zbliżyli, iż ocalenie nasze zdawało się być niezawodném, aż oto niespodzianie światło zagasło. Téjże saméj chwili jeszcze bardziéj niż wprzódy zaczęła się srożyć burza; jakby grubym kirem zasunęła ciemność oczy nasze, z wściekłością uderzyły o łódź naszę szumiące bałwany,

coraz srożéj wzdymała się kipiąca otchłań, gdy oto za jednym razem uczuliśmy potężne wstrząśnienie — łódź się przewróciła — jużeśmy zginęli!

Straciłem zmysły, czułem tylko iż mnie pęd wzdętych wałów z sobą unosił. Przez długą chwilę zostawałem na powierzchni, a jeden wał oddawał mię drugiemu; gdy mię oto razem coś twardego potrąci; wyciągam prawie bez wiedzy, jakby przez sen tylko, kurczem już strętwiałą rękę, i czuję, że znowu cóś o nią trąciło; przychodzę do zmysłów, chwytam się płynącéj obok mnie belki, nadzieja życia wzmaga ostatki sił moich; biorę belkę pod siebie, już nie tonę w otchłań, już po niéj wierzchem płynę! Przychodzę do zupełnego upamiętania. Wołam głośno po imieniu nieszczęśliwych towarzyszów moich, nikt nie odpowiada, wszystkich pochłonęło głębokie morze, ja tylko jeden pozostałem!

Niepodobna było rozeznać, gdzie mnie zagnały fale; z trwogą pomyśliłem, żem się od pływającéj oddalił latarni, jużem rozpaczał, że jéj

nie znajdę, aż oto nagle w małém oddaleniu spostrzegam jakąś czarną masę, był to okręt, na którym pływała wzniesiona latarnia. Wycieńczony trudem i przestrachem na siłach, wołam w głos kilkakrotnie, aby mnie ratowano. Lecz na okręcie panowała cisza. Dwukrotnie opłynąłem okręt, starając się na pokład wydobyć, ale nadaremnie. Nakoniec wzmaga się powódź, spiętrzona fala wznosi mię niespodzianie, w oka mgnieniu chwytam się łańcucha, na którym statek ten był upięty i po nim z wielkim trudem wydostałem się na pokład.

Stanąwszy tam, najpierszém mojém uczuciem było, zanieść niebu najgorętsze dzięki za cudowne wyratowanie mnie z tak groźnego niebezpieczeństwa! Potém spojrzałem w koło siebie, nikogo nie było na pokładzie, lecz u stóp do kajuty prowadzącéj drabiny, spostrzegłem przez szpary we drzwiach słaby promyk światła. Z przezornością spuściłem się na dół po drabinie, śledząc, w jakie ręce burza i morze mnie zaniosły. Przez szczelinę spostrzegam dwóch przy stoliku siedzących, licho ubranych ludzi, zawieszona u powały kajuty lampa, słabym

tylko blaskiem oświetlała rysy ich twarzy. Na ryk fal, szum dészczu i huk burzy obojętni, zdawali się być tylko wichrem własnej namiętności miotani. Gniew błyskał z ich oczu, a jakaś tajemna zawiść i niepokonana chęć zemsty malowała się w ich obliczu. Szum i łoskot bałwanów morskich tłumił ich mowę, nie mógłem jéj dosłyszéć, ale wytężonym wzrokiem patrzyłem na gniewne i gwałtowne ich poruszenia. Nagle zerwali się do walki, i stanęli jak dwa wilki przeciw sobie; wtém jakaś kobiéta weszła do kajuty, i zdawała się mową swoją poskromiać ich zapalczywość; usiedli znowu na swych miejscach, ale z twarzy ich poznać było można, że wmieszanie się pomiędzy nich téj kobiéty, nie poskromiło ich nienawiści, lecz ją tylko odwlekło.

Przypatrując się z uwagą temu wszystkiemu co się działo w kajucie, pośliznęła mi się noga po deskach pokładu wilgocią oślizłych, i mimowolnie trąciłem we drzwi.

Ten stuk, który obadwaj mężczyźni usłyszeli, położył natychmiast koniec ich niezgodzie. Zdziwieni zaczęli się naradzać z sobą, a po kilku

chwilach wachania się i namysłu, jeden z nich starszy wiekiem, otworzył drzwi kajuty. Spostrzegłszy mnie, odskoczył wstecz z przestrachu, jakby przed zjawiskiem z tamtego świata. Po wybladłéj méj twarzy, przemokłych sukniach i włosach, z których jeszcze woda ściekała, sądził zapewne, że jestem jeden z owych rozbitów, którzy nie daleko tegoż miejsca w bałwanach śmierć znaleźli. Zbliżywszy się do niego, opowiedziałem mu w krótkości cały wypadek, lecz on patrzył na mnie ciągle trwożliwym wzrokiem; poczém nie rzekłszy ani słowa, odszedł ode mnie dla naradzenia się z swym towarzyszem. Wszedłem za nim. Pojawienie się moje w tak późnéj nocy, i podczas tak strasznéj nawałnicy, przeraziło niemniéj mężczyznę i kobiétę w kajucie, jak tego, który najpierwéj mnie zobaczył. Długo trwało, nim się odważyli do mnie przemówić i nim mi udzielili pomocy, któréj tak spieszno wymagało moje nieszczęście. Nakoniec dali mi przecież cokolwiek pożywienia i suchą odzież, poczém układłszy się w kącie kajuty, w oka mgnieniu twardo zasnąłem.

Skoro zaświtało, obudziłem się ze snu, wyszedłem na pokład i z uwagą rozpoznawałem to rzadkie schronienie, do którego mnie niebo wprowadziło. Byłto duży i mocno zbudowany okręt, mający niemal trzydzieści stóp długości. Jednym tylko otworem wchodziło się w głąb pokładu; po środku wznosił się maszt wysoki, na którego szczycie były przymocowane lampy do których oczyszczania i oświetlania sznurowa drabina prowadziła. Sam okręt ogromnemi łańcuchami i mocnemi linami upięty był do skały stérczącéj na széroko rozciągającéj się mieliźnie o któréj latarnia morska żeglujące statki przestrzegać miała. Na ten widok obudziło się w sercu mojém uczucie, którego opisać nie jestem w stanie. To odosobnienie na bezludném rozległém morzu, ten mały świat na bryle piasku, odcięty od wszystkich ludzi, otoczony tylko hukiem wiatru i ryczącémi falami, ogarnęły duszę moje najsmutniejszém uczuciem. Czémże jest życie ograniczone na tak wązkiéj przestrzeni. A jednak zdawało się, jak gdyby walka żywiołów i dzika srożąca się natura, jeszcze nie była dostateczną dla mieszkańców téj samo-

tnéj siedziby, karmili oni jeszcze nienawiść i zemstę przeciw sobie!

Bl-do i posępno weszło słońce na widokręgu; otaczały je chmury, przez które promień jego przedrzeć się nie zdołał. Ze wschodem jego rozjaśniło się cokolwiek morze, ujrzałem w oddaleniu dwóch mil morskich wybrzeża Norwegji. Burza całkiem ucichła; nadaremnie szukałem okiem szczętów strzaskanego okrętu i łodzi; nie postrzegłem ani jednéj deski, ani żaglu, okropna cisza osiadła na całém morzu. Pogrążony w smutném zadumaniu, gdym osłupiałym wzrokiem patrzył na nieustanne koleje fal przemijających, wyszedł do mnie z kajuty **Angersdorf**, starszy wiekiem z obu mężczyzn, i na zapytanie moje: jak też długo potrwa, nim się na wybrzeże dostanę, odrzekł: „ Moje się zdaje, iż nie prędko ten czas nadejdzie; gdyż do naszego okrętu tylko raz w miesiąc łódź zawija i na całe cztery tygodnie żywności nam dostarcza; właśnie będzie temu sześć dni jak nas odwiedziła; teraz oblicz sam jak długo ten czas potrwa.

„ Nie płynąż koło waszego okrętu żadne łodzie rybackie?

— Latem płyną czasem, ale w téj porze roku obawiają się zbliżać aż do naszéj mielizny, gdyżby niezawodnie życiem połów ryb przepłacili.

Odpowiedź ta jeszcze w większy smutek mnie pogrążyła; wyobrażałem sobie nieznośne chwile, jakie w tém więzieniu przez trzy tygodnie przetrwać będę musiał. Myślałem sobie, gdybym przynajmniéj w jaki sposób mógł pracować nad mojém uwolnieniém! Lecz musiałem być nieczynnym, i w największéj nudocie czekać, aż pokąd mnie jaki przyjazny wypadek, albo pomału wlekący się czas, mojej niewoli nie skończy! Nie mógłem się spodziéwać, abym u moich towarzyszy znalazł jaką zozrywkę albo obudził w nich litość na moje nieszczęście. Złoto które na innych ludziach wielką wywiéra władzę, nie miało u nich po większéj części żadnéj wartości. Niczem innem dla nich nie byłem jak tylko ciężarem, kłopotem i niepotrzebnym zjadaczem ich żywności, która do pewnego czasu tylko na troje ludzi wyrachowana, teraz na czworo podzieloną być musiała.

Z tych albo innych powodów, których dociec nie mogłem, poglądano na mnie niechętném okiem, krótko i z fukiem odpowiadano na moje zapytania; chociaż obadwaj mężczyźni i kobiéta rzadko z sobą mówili, jednakże poznawałem, iż jakby z namowy wszyscy troje ode mnie stronili. Każdy ranek schodził im na czyszczeniu lamp latarni morskiéj. Resztę dnia robiąc sieci, albo też naprawiając niektóre rzeczy do lamp potrzebne, mężczyźni przesiadywali razem w kacie; obadwaj zachowywali ponure milczenie, a jeśli czasem do siebie przemówili, słowa ich były pełne gniewu i nienawiści, za najmniejszą pobudką błyskał ogień w ich oczach, i z każdą chwilą zdawało się, iż srożący się w ich sercu wicher namiętności nagle wybuchnie.

Młodszy z nich, któremu dozór nad latarnią szczególniéj był powierzony, zwał się Morwald. Twarz jego, na któréj się żałośny smutek malował, była łagodną, sposób obchodzenia i wyrażania się okazywał, iż miał wyższe nad swój stan wychowanie. Kobiéta na okręcie nazwiskiem Marja, była jego małżonką. Aczkolwiek

jeszcze młoda, już jéj lica nie kwitnęły. Rysy twarzy jéj były miłe a nawet piękne, lecz w spojrzeniu jakaś chytrość zamieszkała. Nawet w całém zachowaniu jej widać było coś tajemniczego, zdawała się ważyć swe myśli, jak gdyby się obawiała, by jakiém słowem ich nie zdradziła. Angersdorf, drugi stróż latarni sumorskiéj, miał lat około cztérdzieści, był surowy, silny i odważny mężczyzna. Niezadługo postrzegłem, że Morwald ku niemu czuł wielką nienawiść i że się go bardzo obawiał, widziałem że Angersdorf zjednał sobie nad Marją nieograniczoną władzę. Zuchwały i uparty, zamiast ulegania, wydawał rozkazy, i okazywał zawsze gotowość posuwania kłótni do ostateczności.

Ale zkądże poszła tajemna ta zawziętość, któréj Augersford ku swemu przełożonemu w sobie pokonać nie mógł? Postrzegłem, iż jeden względem drugiego ciągle mieli się na baczności. W dzień nie spuszczali siebie z oka, a za nadejściem nocy, ten, na którego przyszła koléj utrzymania w lampach światła, (w czém co pięć godzin się odmieniali), śledził z zawiścią

każdy krok swojego przeciwnika. Szczególniéj Morwald w takim razie okazywał się bardzo niespokojnym, przez co się właśnie spory z jego pomocnikiem co raz bardziéj wzmagały. Nakoniec zdawało się, iż uległ nieugiętemu charakterowi Angersdorfa, duszę jego owładnął czarny smutek, zostawiwszy więc Marję samę jednę z swym niepreyjacielem w kajucie, przez cały dzień na pokładzie przebywał.

Co do mnie, spędzałem całe dnie w małém przepierzeniu, które było moją sypialnią i niewychodziłem ztamtąd, aż pokąd noc nie nadeszła, wtedy oparłszy się o galerję okrętu przypatrywałem się przy blasku lamp powierzchni morza. Nie raz zdawało się mi, że widzę biały żagiel tonącego okrętu, i słyszę rozbitków wzywających pomocy. Co za okropne położenie! Byłem uwięzion na bryle piasku, omijany od wsaystkich, którzy w okolicę tego wybrzeża się zapędzali, kołysany bez ustanku falami, a jednak wskazany zostawać ciągle na jedném i tém samem miejscu! Nie mieliśmy tam ani z niemi jakiéj doznaje się w podróży, ani nadziei dostania się do portu, ani radości, jaką

pomyślny wiatr w żeglarzu obudza. Schodziło nam na wszelkich acz najmniejszych rozrywkach, nawet na pracy i niebezpieczeństwie, najbardziéj zaś zatruwała tę nieznośną samotność, zawzięta nienawiść Morwalda ku Angersdorfowi, która i mnie pominąć nie mogła, gdyż wązka przestrzeń przymuszała nas ciągle do zostawania w pobliżu jeden drugiego. Pod jeden wieczór, gdym siedział na pokładzie, zbliżył się do mnie Morwald, który tamże się przechadzał, i usiadł przy moim boku. Już od kilku dni zdawał się szukać sposobności pomówienia ze mną. Łagodny jego charakter i niegodziwe obchodzenie się żony, jak i podrzędnego mu Angersdorfa, wzbudziły we mnie politowanie Postrzegłem, iż Morwald tego wieczora był posępniejszym niż zwykłe, zwiesiwszy ku piersiom głowę, siedział przy mnie w milczeniu, nareszcie zasłonił sobie twarz rękami i rozpłakał się rzewliwie.

— Cż ci to Morwaldzie? jakiż to smutek cię ogarnął? — zapytałem, ale on nie odpowiedział.

— Mów nie ociągaj się,—ponowiłem moje pytanie, — powiedź co się stało?

— Ach, przepadło! przepadło!... teraz jestem zgub.ony!

— Jako, co mówisz?... cóż to ma znaczyć?

Lecz on powtarzał ciągle: — jestem zgubiony! — Często przytłumionym głosem wymawiał także imię Marji i Angersdorfa. Serce jego rozdzierała głęboka żałość długo pokonywana, późniéj dopiero nieco się uspokoił.

— Przebacz mi, —rzekł nareszcie, żem przed tobą nie zdołał ukryć mojego smutku. Domyślasz się zapewne co mnie pożera... Czy podobna, aby ta, któréj całe moje życie, któréj i miłość moję poświęciłem, tak się ze mną obchodziła!...Niegodziwy Angersdorf zgubi mnie i ją do zguby przywiedzie! Pierwéj, chociaż nie koniecznie szczęśliwie, jednakże spokojnie żyliśmy z sobą... Zapewne jakowemiś czarami przyłudził ją do siebie... Ale oni na tém nie poprzestaną, ich zaciekłość do tego ich przywiedzie, że mnie zabiją!

„Nieszczęśliwy, jak można coś podobnego do głowy sobie przypuszczać?“

„Jak ci mówię, zabiją mnie. Jestem im na przeszkodzie i dla pozbycia się mnie, na wszystko się odważą. I teraz oto siedzą w kajucie i przemyśliwają, jakimby mnie sposobem na tamten świat wyprawili. Wiem niezawodnie, że z ich ręki zginę“

„A dla czegoż nie uciekasz z tego okrętu i pod opiekę praw się nie udasz?“

„Ach! czy sądzisz, iżby mi dali czas do ucieczki? A potém—ja w ojczyźnie mojéj pokazać się nie mogę. Nie z własnéj woli obrałem sobie to pomieszkanie; grzéchy młodości w to miejsce mnie wtrąciły! Byłem popędliwy, chciwy honoru, nie dla mnie, dla niéj tylko, i zapomniawszy się jednéj chwili... Lecz pocóż wspominać o tém, com uczynił, co już minęło, i czego naprawić nie można! Dość na tém, że mnie tutaj przysłano. Przeczuwam to, że już z tego okrętu żywym nie wyjdę. Dzień i noc zapowiada mi głos wewnętrzny, że mnie zabiją, a ja to po ich iskrzących oczach poznaję!

— Nie poddawaj się tak smutnym myślom, samotność w któréj żyjesz wprawia w słabość twoję wyobraźnię. Bądź mężny i pokaż więcéj stałości.

— Nie żyję ja w samotności, setne okręty różnéj wielkości i różnych narodów zginęły na tych mieliznach. Trupy rozbitków ciągle pływają w około. Ileż razy śród nocy i mgły poznawałem postaci ludzkie poruszające się śród bałwanów! Któż były te pokutujące duchy? Cóż czyniły w tém miejscu i o téj godzinie! Bóg jeden wie to. Często także słyszałem wrzawę głosów wznoszących się z głębi morza. Ach, nie mogę powiedzieć że samotnie żyję.

— Marzenia! Weź na pomoc twój rozum. Nieszczęście którego tak często byłeś świadkiem zniczyło twojego ducha.

— Ah gdybym był tylko świadkiem tych nieszczęść! Ah, gdybyś wiedział! — ale dla czegoż nie miałbym ci powiedzieć. Może mię będziesz żałował. Pewnéj nocy, wkrótce po przybyciu Angersdorfa, wiatr wiał gwałtownie; latarnia kołysała się tam w górze na maszcie

w tę i ową stronę. Ale ja nie myślałem ani o burzy ani o latarni. Stałem na drabinie i ociągałem się zejść. Długo walczyłem z sobą, nakoniec zwyciężyła pokusa. Opuściłem moje miejsce i poszedłem przekonać się o mojéj hańbie.

— I przekonałeś się?

— Wysłuchałem i wypatrzyłem jak Angersdorf szedł do zalotnicy która go czekała. Rzuciłem się na niego i wszczęła się okropna walka. Podczas gdyśmy walczyli z sobą, wiatr zgasił latarnię i w téj saméj chwili usłyszałem strzał wzywający pomocy. To jest hasło uroczyste, przypomniało nam ono naszą powinność i walka nasza ustała. Pobiegłem na pokład, mimo ciemności zobaczyłem wielki okręt, który wały pędziły ku mieliźnie. Przejęty trwogą pośpieszyłem zapalić latarnię. Teraz oświecała ona tylko rozbicie i pokazała mi morze pokryte szczątkami okrętu i rozbitkami. Boże, to było okropne! zwracali oni na mnie spojrzenia, którym bliskość śmierci okropny nadawała wyraz. Wprawdzie wkrótce wszystko minęło, ale ja nigdy nie zapomnę téj okropnéj nocy. Słyszę i widzę tych

nieszczęśliwych którzy przez moję winę zginęli; zawsze oni stoją przedemną.

— W téj nocy kiedy nasz okręt się rozbił i ja jeden tylko uszłem zguby, latarnia się nie paliła!

— Tak, tak, ja jestem przyczyną rozbicia waszego okrętu, albo raczéj oni temu winni. Oni sami. Téj nocy, znowu ich zeszedłem. Oh, żem ich nie mógł zabić!

— Czy zemściłeś się?

— Biliśmy się z sobą. Przeklęta niech będzie słabość członków moich, Angersdorf rzucił mię na ziemię i darował mi życie.

— A odtąd!

— Odtąd nie starają się nawet ukrywać swego występku.

Żałowałem i litowałem się nad tym nieszczęśliwym, który musiał taką hańbę znosić. On pojął co się w mojéj duszy dzieje, i rzekł po krótkiém milczeniu.

— Widzę że mną pogardzasz. Ale cóż miałem uczynić? Zostawiony sobie samemu, daleki

od wszelkiéj pomocy, jestem w mocy zbrodniarza. On zawsze stara się mnie drażnić. Aby się na nim pomścić oczekuję wysłania czołna od brzegów. Ale powziąłem postanowienie które mię wyżéj w twoich oczach postawi. Nie będą mię już bezkarnie hańbili. Patrz, dodał z dumnym uśmiechem, widzisz ten nóż? Zobaczemy wkrótce czy Angersdorf z całą swoją siłą będzie się śmiał ze mnie. Na piekło, zar morduję go, jeśli on mię nie uprzedzi.

To powierzenie się ze strony Morwalda i zapał z którym mówił, wprawiły mię w wielką niespokojność. A więc przygotowywało się tu morderstwo, Morwald był jednym z tych słabych charakterów, które doprowadzone do ostateczności, do wszystkiego są zdolne. Chciałem zatrwożyć Angersdorfa mówiąc mu żeby był ostrożnym, ale ufny w swoję siłą ciała i mniemane niedołęstwo Morwalda, był on tak nie uważany jak dawniéj.

Tak minęły dwa dni. Spoglądałem nieustannie na wszystkie strony widnokręgu, w nadziei że gdzie bądź zobaczę jaką rybacką barkę zbli-

żającą się do nas. Pewnego poranku Morwald, który w drugiéj połowie nocy czuwał, rozkazał swemu podwładnemu, Angersdorfowi, aby przygotował lampy na noc następną. Ten zdawał się nie słyszeć danego mu rozkazu. Z oczu jego przemawiało nieposłuszeństwo. Morwald zbladł, i rzekł z gniewem którego nie mógł ukryć: „ musi tak być jak kazałem.

— Jeśli tak być musi, to uczyń to sam.

— Uczyniłem to wczoraj kiedy była koléj na mnie, dziś do ciebie to należy.

— Jestem dziś zmęczony, niech kto chce pracuje.

W téj chwili weszła z cicha do kajuty Marja, i obecność jéj zwiększyła zuchwalstwo Angersdorfa. Stanął przed Morwaldem, spojrzał nań dumnie i rzekł: Proszę jak dziwaczni jesteśmy dziś z rana. Nie mamy jeszcze włosów na brodzie, a przemawiamy jak mąż.

— I jak mąż zdołam zmusić do posłuszeństwa.

— Chciałbym to widzieć.

= A więc zobaczysz, odpowiedział Morwald i nie mówiąc więcéj, uderzył go silnie w głowę. Chociaż nieco zmięszany tą niespodzianą napaścią, Angersdorf objął natychmiast rękami swego przeciwnika. Pobiegłem ku nim, aby zapobiedz walce na śmierć i życie, ale w téj saméj chwili Morwald uwolnił się z rąk swego przeciwnika, dobył nóż i zadał mu cios który słabo tylko został odparty. Chciał on powtórzyć uderzenie, ale ja wstrzymałem go i pociągnąłem na pokład. Potem zeszedłem do Angersdorfa, który na widok krwi płynącéj z rany ryczał jak dzikie zwierzę, i od którego tylko przez długie proźby i pogróżki otrzymałem przyrzeczenie że nie będzie więcéj drażnić Morwalda.

Obaj przeciwny już się w tym dniu nie widzieli. Angersdorf siedział w swojéj kajucie, Marja obwiązała mu lekką ranę. Długo z cicha rozmawiali z sobą. Skoro się zbliżyłem przestawali mówić. Tylko z ich poruszeń widziałem że ich rozmowa była bardzo żywa. Trwożna i wachająca się Marja zdawała się czynić

niejakie zarzuty które jéj współwinowajca energicznie zbijał. Zwolna przystała jak się zdawało na jego rady i uległa władzy jaką nad nią wywierał. Potem już nie mowili z sobą...

Kiely nadszedł wieczór, przyszedł Angersdorf na pokład dla zajęcia się latarnią. Z obawy o jego zamiary pozostałem w pobliskości, ale nie mówiliśmy z sobą ani słowa. Był on oparty o galerję okrętu a ja siedziałem u stóp masztu i słuchałem jedno-tonnego odgłosu wałów.

Około północy Morwald zluzował Angersdorfa, który zeszedł do swojej kajuty. Słyszałem że się położył. Marja poszła do swojéj kajuty. Głęboka cisza panowała wkoło nas i ja uspokojony na tę noc i znużony czuwaniem udałem się także do mojéj szczupłéj izdebki. Długo moje oczy opierały się snowi, nakoniec zasnąłem, i trwożne sny dręczyły mnie. Zdawało mi się że słyszę nade mną stąpanie, i wkrótce potem przytłumiony krzyk. Obudziłem się tem nakoniec i to nie było złudzenie, moje ucho usłyszało krzyk trwogi, po którym wkrót-

ce nastąpił takiż drugi i trzeci. Wstałem, wybiegłem z mojéj izdebki i spotkałem zaraz Marję.

—Co to jest na imię nieba? Co to za krzyk?

——Nie wiem nic, odpowiedziała jąkając się' jaki krzyk?

Nie odpowiadając jéj pobiegłem ku drabinie wiodącéj na pokład. Drzwi były zamknięte, stukałem i biłem we drzwi, chciałem je odeprzeć, ale opór był silny a ciągle słyszałem jęki, które były coraz i coraz słabsze. Zebrałem wszystkie siły i drzwi nakoniec ustąpiły. Kogóż zobaczyłem na pokładzie? Angersdorfa samego tylko.

Postąpił ku mnie i rzekł:—,,Wielkie nieszczęście! Morwald wpadł w morze. Wołał o pomoc, przybiegłem tu, widziałem jak się chwycił liny, ale bałwan porwał go z sobą nim mogłem mu dopomódz. Rozumiesz mię? dodał, Morwald wpadł w morze.

Długo mógłby jeszcze mówić, nie mogłem z przerażenia odpowiadać mu. Nakoniec odzyskałem przytomność i zapytałem wskazując na jego ręce: ,,Czyjaż to krew?

— Morwalda. Lina któréj się trzymał była zupełnie pokrwawiona. Moja rana także otworzyła się znowu i muszę ją przewiązać.

Zeszedł do Marji która napełniała powietrze udanemi żalami.

Morderstwo, okropne morderstwo zostało popełnione, ale jak? z jakiemi okolicznościami? Wszedłem na sam brzeg galerji i wyglądałem czy nie zobaczę jakiego śladu nieszczęśliwego Morwalda. Okropnie! wszystkie deski, których się tylko dotknąłem, były krwią obryzgane, cały pokład zlany był krwią nieszczęśliwego..

Gdy z wiatrem zdawały się dolatywać uszu moich jęki umierającego, skoczyłem wstecz z przestrachu! Chciałem uciec, sama obecność zbójcy była dla mnie mniéj straszną, niż krew i samotność. Atoli lukę, z któréj prowadziła drabina do kajuty, znowu zamknięto... „Toż i mnie na śmierć skazano? pomyśliłem sobie. Naradzająż się teraz oboje jak i mnie zgładzić z tego świata?... Cóż tu począć i jak sobie zaradzić? jakim sposobem uniknąć nieuchronnéj śmierci?..." Nagle usłyszałem plusk głuchy, spo-

zieram ku miejscu, ręka wydobyła się z morza. Wdzieram się na pierś okrętu, spuszczam się na dół, trzymam się silnie liny i opieram o łańcuchy; wtém spostrzegam człowieka, który się uchwyciwszy liny, z najboleśniejszą śmiercią walczy. Byłto Morwald. Tejże saméj chwili nawał powodzi wstrząsa okrętem, a konający puszcza z rąk linę! Chwilę jeszcze unoszą go ze sobą fale, lecz nie długo trwało—już w głąb zatonął!

Otrętwiałym wzrokiem patrzyłem długo w to miejsce, lecz już nic nie ujrzałem, zdawało się jakoby morze chciało mi objawić wprzód zbrodnię, zanim ją w swém łonie zagrzebało.

Po niejakiéj chwili zastałem już otwartą lnkę, zeszedłem na dół i ujrzałem spiącego Angersdorfa. Nędznik ten dla stłumienia w sobie zgryzoty, wódką się zapił. Ciężki był jego oddech, a twarz ogniem pałała. Nie wiedziałem co się z Marją działo.

Usiadłszy na ławce, zamyślałem całą noc na niéj przeczuwać. Niebawem zgasła lampa wisząca u powały kajuty, i w około ciemność

mnie ogarnęła. Słyszałem jak zabójca zrywał się ze snu, straszne sny dręczyły jego sumienie. — Nalejcie oliwy — wrzeszczał we śnie, — lampy się nie palą... Jako?... Cóż to ma znaczyć? Krew zamiast oliwy!... Łódź, łódź płynie — słyszysz tam wiosła!... Niech cię piekło pochłonie! jeszcze trup pływa... zobaczą go... Morwaldzie!... ach, jakże krew jego wszystką wodę zczerwieniła, jak osłupiałym, czerwonym wzrokiem patrzy na mnie... — Gdy to wymawiał, głos jego był drżący, zgrzytał zębami, a całém ciałem jego rzucało sumienie.

Skoro dzień rozlał strumienie słońca, wyszedłem znowu na pokład. Zastałem tam Marję, która ślady nocnéj zbrodni zmywała. Postanowiłem przed nią i przed jéj spółwinowajcą udawać niewiadomego, i czekać końca méj niewoli, a potém donieść sądowi o ich zbrodni. Tak długo postanowiłem unikać wszelkiéj wzmianki o tym całym wypadku. Augersdorf nie pojawił się aż około południa na pokładzie; był blady, na pomieszanéj twarzy jego widać było wyraźnie wewnętrzną niespokojność, którą przede mną ukryć usiłował, na chwilę utopił

we mnie spojrzenie, lecz zaraz potém spuścił je w ziemię. — Udając spokojnego rzekł: — straciliśmy tedy biednego Morwalda, jest to wielkie nieszczęście, ale cóż robić, już tego odmienić nie można. Będziemy musieli teraz obadwaj pilnować latarni, aż pokąd na piérwszém statku ztąd nie odpłyniesz, dla tego bądźmy przyjaciołmi. Nie obawiaj się, znajdziesz we mnie dobrego towarzysza. —To rzekłszy, wziął mnie za rękę i mocno ścisnął. Ręka twoja — ze wstrętem pomyślałem sobie, tchnie jeszcze krwią Morwalda!

Pod wieczór postrzegłem w oddaleniu płynący okręt, który do nas sterować się zdawał. Angersdorf i Marja bawili razem w kajucie. Postanowiłem nie oznajmiać im o tém, i pozostawszy na pokładzie, nie spuszczałem oka z okrętu, który się coraz bardziéj przybliżał. Już tylko ćwierć mili był od nas oddalony, gdy ot razem się zwrócił i znowu ku wybrzeżu sterować zaczął. Spostrzegłszy to, uwiązałem chustkę do wiosła, i zacząłem dawać znak okrętowi, aby do nas przypłynął. Téj saméj chwili wyszedł Angersdorf na pokład, i roz-

gniewany moim postępkiem, wydarł mi wiosło i chustkę z ręki, grożąc, iż mię natychmiast w morze strąci, jeżeli jeszcze najmniejszy znak okrętowi dać się poważę.

„Jako“, rzekła Marja, która za nim na pokład wyszła, „toż ten zdrajca umknąć zamyśla? nie dozwól tego, Angersdorfie.“

„Nie troszcz się o to“, odrzekł tenże, „on nam z tąd nie odpłynie, pokąd mu ja nie pozwolę. Niech się ma na baczności, albo go to szmo spotka...

— Co Morwalda spotkało, — przerwałem mu mowę, nie mogąc już w sobie pokonać gniewu.

— Jak powiedziałem, — rzekł głosem groźnym i zmierzył mnie okropnym wzrokiem, — „to samo, co Morwalda spotkało: przynajmniej przed nikim tego opowiadać nie będziesz; skoro postrzegę, że się do ucieczki zabierzesz, temi rękami cię zadławię; niech będę potępionym, jeżeli tego nie uczynię.

Tym sposobem znowu zniweczonym został zamiar uwolnienia się z towarzystwa tego szkaradnego złoczyńcy. Angersdorf pilnował mnie

z jak największą bacznością, od czasu do czasu patrzył przez dalowid ku wybrzeżu, dla zapewnienia się, ażali jaki statek ku nam się nie zbliża. Odkąd się przekonał, że wiem o jego zbrodni, zaczął mnie nienawidzić; nieraz słyszałem, jak mi odgrażał. Zdawał się tylko pomyślnéj czekać pory, aby i mnie w morze mógł wrzucić.

Zimną rozwagą zacząłem się zastanawiać nad mojém położeniem. Jakkolwiek byłem w mocy dwojga podłych zbrodniarzy, jednakże nie mieli oni przy sobie ogniowéj broni, czując się więc na siłach, postanowiłem opór im stawić. Obawiałem się tylko, by na mnie niespodzianie nie wpadli, z tego powodu oszańcowałem się w mojéj izdebce z postanowieniem, drogo przedać życie moje. Tymczasem noc upłynęła spokojnie. Nad rankiem usłyszałem, iż drzwi izdebki mojéj zewnątrz dylami zatarasowano; tejże saméj chwili dały się słyszéć uderzenia wioseł i jakieś obce głosy.

„Cóż tam porabia Morwald?“ zapytano na górze.

„Jest zdrów, ma się dobrze“, odrzekł Angersdorf.

„A dla czegoż się nie pokaże?“

„Jest trochę słaby, dla tego nie wychodzi z kajuty.“

„Jaki z ciebie filut, czy podobna, aby Morwald był razem zdrów i słaby? O zakład idę, że ten spioch jeszcze dotychczas swobodnie chrapi.“

„Zapewne, zapewne; cóż tam u was słychać nowego?“

„Nic zgoła; morze wyrzuciło na brzeg jakiegoś trupa. Powiadają, że był bardzo pokaleczony i że go ktoś z umysłu zabił. Wypadek ten wszczął wielki rozruch w mieście, sędziowie nie mając nic do czynienia, biegają jeden do drugiego i żądają koniecznie śledztwa; mówią, iż wyślą na morze szalupę z oficerem, który wzdłuż wybrzeża zwiedzać będzie wszystkie okręty, ażali na nich którego z ludzi nie brakuje, to nie są żarty, z tego cóś urośnie!“

Już nic więcéj dosłyszéć nie mogłem, przez chwil kilka znowu ucichło. Po niejakim czasie

usłyszałem głos Angersdorfa: „Szalupa z oficerem powiadasz, kiedyż ona wypłynie?“

„Może jeszcze dziś rano, a może aż ku wieczorowi, ale cóżto ciebie obchodzi?“

„O, bynajmniéj... Bądź zdrów kumie Krystjanie, nie chcę zatrzymywać cię dłużéj; dzisiejszego dnia podobno burzę mieć będziemy.“

„Być może, mnie się zdaje, że istotnie na wielką burzę się zanosi. Ale, ale, czy sobie u mnie ryb nie kupisz? Nie? tedy znajdę dla nich gdzie indziéj kupca... ale stój, oto właśniem sobie przypomniał; niedawno zatonął tutaj okręt. Czy nikt z ludzi się nie uratował?“

„Nikt, wszyscy potonęli.“

Na te słowa mogłem się był odezwać i o bytności mojéj dać znak jakiś, ale z mowy poznałem, że kum Krystjan ścisło z Angersdorfem jest zaprzyjaźniony, a tak sądziłem, iż rozsądniejsza będzie na szalupę zaczekać. Wkrótce zaczęły znowu robić wiosła, a głosy, coraz bardziéj w oddaleniu milknęły. Gdy łódź odpły-

nęła, poodkładał Angersdorf dyle, któremi był moję izdebkę zatarasował. Z przezornością wyszedłem z méj siedziby. Zastałem winowajcę jeszcze bledszym i bardziéj pomięszanym niż wprzódy, widać było, iż go straszna dręczy zgryzota. Spojrzawszy na mnie, nie rzekł ani słowa, i zdawało mi się, że już ani myślić nie był zdolnym.

Marja przytuliwszy się do jego boku rzekła: „Czy sądzisz, iż szalupa, o któréj sternik mówił, w saméj rzeczy przybędzie.“

„Nieinaczéj Marjo, przybędzie,“ odrzekł, i aż nadto prędko ją zobaczemy!“

„Ach litościwe nieba, cóż się z nami stanie! Angersdorfie wymyśl środek jaki do ujścia z tego miejsca, wszakże tu zostać nie możemy.“

„A toż dla czego nie? Cóż nas obchodzą sędziowie i szalupa? Ot lepiejbyś milczała, niechaj przybędą, będziemy im radzi.“

Jednakże nadaremnie starał się Angersdorf siebie, Marję i mnie zwodzić. Niespokojność jégo wzrastała z każdą chwilą, wewnętrzna trwoga ani na chwilę nie dawała mu spoczynku.

Nakoniec wszedł do kajuty, nalał sobie duży kielich gorzałki i wypiwszy za jedném wychyleniem, wrócił znowu na pokład. Tymczasem zerwał się wiatr i zaczął silnie dąć z nadbrzeża, czarne chmury ściągały się w téj stronie; Angersdorf patrzył wytężonym wzrokiem ku wybrzeżu. Sądził iż szalupa postrzegłszy zachmurzone niebo, nie rozwinie żagli. Co chwila brał do ręku dalowid i patrzył na wszystkie strony; nie postrzegłszy na morzu żadnego statku, zaczął być spokojniejszym.

Ale za jednym razem rzucił dalowidem o podłogę i wrzasnął jak szaleniec: „Oto już czarci ich niosą!“ Na te słowa Marja poskoczyła z trwogą ku niemu, ale ją odtrącił od siebie skoro istotne ujrzał niebezpieczeństwo, już znowu nabrał odwagi. Porwawszy do rąk siekiérą, zaczął z całéj siły potężnie rąbać łańcuchy i liny, tym sposobem uwolniony statek, zaczął powoli oddalać się na przestworze morza.

„Teraz niechaj przyjdą“! wrzeszczał Angersdorf uniesiony dziką radością, “nie mówiłżem, że im radzi będziemy! Hurra! hurra!“

Statek nasz nie miał ani żagli ani stéru, oddany był na dowolne igrzysko bałwanów. Jakoż wkrótce zaczął się tak kołysać, żem się na nogach utrzymać nie mógł i kilkakrotnie na pokładzie przewrócił. Angersdorf nieprzestawał jak opętany wrzeszczeć i radować się wściekle: — Płyniemy szybko, płyniemy jak strzała, zerwiéj się burzo, zadmiejcie wichry; tak, tak wesoło, płyniemy do wszystkich djabłów! Hura! hura!

Tymczasem na dalekim horyzoncie, jak czarny punkt ukazała się szalupa, która nas widocznie ścigała. W śmiertelnéj trwodze zwróciłem ku niéj moje oczy; liczyłem czas, w którymby nas dobiedz mogła; a chociaż nierównie większą niż my odbywała przestrzeń, trzeba jéj było wkrótce nadpłynąć, gdyż okręt nasz już nam zagrażał zatonięciem!

Nie przestawała na nas polować szalupa; miałem co chwila nadzieję, że mi na ratunek zbieży; aż oto z wytężoną wściekłością zrywa się burza, która już od rana wichrami groziła

w oka mgnieniu ściemniło się morze, a wybawców moich zasłoniła gruba chmura. Odwaga Angersdorfa jak spieszno przyszła, tak go spiesznićj jeszcze odbiegła. Uchwycił się razem z Marją ścian okrętu. Będąc głuchymi na ryk burzy, pozierając jedno na drugie strętwiałym wzrokiem, trzymali się silnie desek u galerji okrętu. Już za życia mieli śmierć na twarzy, okropnie było patrzyć na nich!

Dokądże pędzą nas wichry? Na jakież wybrzeże żenie burza skołatany tułów naszego statku?... Oto przed nami stoi długi szereg skał wysokich, o które zhukana powódź swe wały z trzaskiem rozbija! Na te skały pędzi nas burza rozkiełzanemi wichry! — Widzę nieochybną zgubę, uklękam i polecam duszę Bogu!

Razem okropny trzask i straszne wstrząsnienie — okręt się odbił od skały, i téjże chwili porwany od bałwanów, rzucony na mieliznę i w niéj ugrąza. Nie tracę przytomności, w około okrętu nie była wody jak tylko na dwie lub trzy stopy wysoko; spostrzegłszy to, chwy-

łam się spiesznie liny, spuszczam na dół, i wydostaję się szczęśliwie na skałę. Co widząc Angersdorf ocknął się z swego otrętwienia i chciał mnie ścigać, lecz gdy z pokładu na dół się spuszczał, tak gwałtownie popchnęło morze okrętem z mielizny, iż w obawie, aby go z sobo spienione nie porwało topielisko, znowu spieszno na pokład się zwrócił.

Ja tymczasem wdzierałem się po stromych i śliskich wystankach skały coraz wyżéj, aż pokąd utrudzenie do spoczynku mnie nie zmusiło; pośród nocy nie mogłem nawet bez niebezpieczeństwa puścić się daléj; postanowiłem więc aż do dnia białego czekać na miejscu. Na morzu srożyła się ciągle okropna burza, przestraszném gardłem ryczały wichry, z dziką wściekłością grzmiały tłuczące się wały, zdawało się, iż się téj nocy świat w przedwieczne roztrzaska chaos!

Gdy się rozświtało, postrzegłem kilkoro ludzi, którzy z pobliskich wzgórz na brzeg zchodzili. Czem prędzéj pospieszyłem do nich i opowiedziawszy im wypadek, poszedłem z nimi wyśledzić co się z Marją i Augersdorfem

stało. Zniknęła pływająca latarnia morska; nadaremnie szukałem ich ciał na brzegu, ale deski i różnego rodzaju szczęty okrętowe przekonywały mnie, że sprawiedliwości Boskiéj zadość się stało!

SUMIENIE.

Jeśli człowieka lica wybladłe,
I chód lękliwy strwożony,
I wzrok ponury, oczy zapadłe,
Nie sądźcie że on szalony,
O! nie — takiego zmysły są zdrowe,
Inne jest jego cierpienie,

On znosi męki srogie, grobowe,
Bo ma nieczyste sumienie.

*
* *

Jak on nie śmiało w oczy spogląda,
Czystego unika wzroku,
Ach! on przed ludźmi ukryć się żąda,
Lęka się cnoty widoku.
Jemu najmilsze lasy i góry,
Wpośród nich szuka schronienia,
Lecz i tam słyszy — srogi, ponury,
Głos nieczystego sumienia.

*
* *

Zbrodniarzu! — żałuj za twe przewiny,
Tyś bliźnim twoim doskwierał,
Tyś zamiast słodzić przykre godziny,
Boleścią serca rozdzierał.
O! nie tu koniec twéj słusznéj kary,
Tu twoim sędzią sumienie,
A gdy w grobowe wstąpisz pieczary,
Tam czeka cię potępienie.

* * *

Spojrzyj, przy tobie stojący człowiek,
Tak się spokojnie uśmiecha,
Tobie sen nigdy nie skleja powiek,
Na jego licach uciecha.
Wszakże was obu jeden Bóg stworzył,
Jedne karmiły was niwy,
Tyś krótko żyjąc — pogardy dożył,
A on na zawsze szczęśliwy.

Jan H....

SPIS RZECZY

W TOMIE III ZAWARTYCH.